



POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

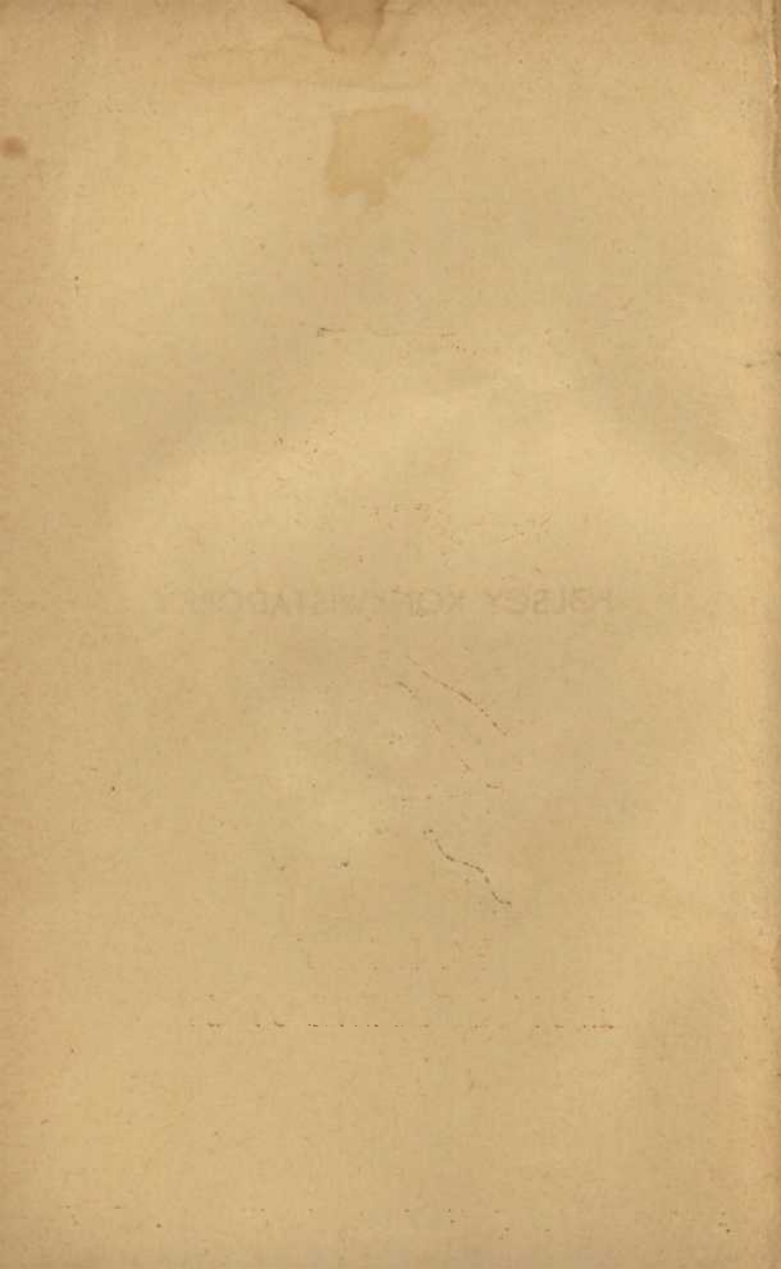
33

JERZY OSTROWSKI



POLSCY
KONKWISTADORZY

GEBETHNER I WOLFF



POLSCY KONKWISTADORZY

ROYAL
POLISH
KONIKWISTADOR



POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

JERZY OSTROWSKI

POLSCY KONKWISTADORZY



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

A 31297

U W A G A.

Nazwy brazylijskie podano w tekście w pisowni,
odpowiadającej ich wymowie w języku polskim.



1000174465

2013 a

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Druk. Piotr Pyz i S-ka, Warszawa.

1934

K 381/63 | 8

POLSCY „KONKWISTADORZY”.

Nie było to wcale w piątek, ani trzynastego, a jednak Krzycha opadły tego dnia smutne myśli i przeczucia.

W szkole był taki zamyślony, że nie odpowiedział na zupełnie proste pytanie „Kadłubka”, czem się różni rocznik od kroniki. Aż „Kadłubek” spojrział ponad okularami i mruknął:

— No, no! żarski nie wie?

Krzych poczuł z wściekłością, że zaczyna się czerwienić, czego u siebie nieznosił.

Ale jeszcze gorzej było w domu. Wchodząc, Krzych natknął się na jakiś „czarny charakter”, który chyłkiem wymykał się z domu, i kiedy wszedł do pokoju, „Musia” schowała coś szybko do torebki. Ale Krzycha niełatwo było oszukać: niedarmo był zastępowym zastępu „Rysi”!

Rzucił więc książki na swój stolik i powiedział do „Musi” z wyrzutem:

— „Musiu”! Znowu pożyczałaś pieniądze?

„Musia” była taka strasznie miła, że nie można było na nią długo surowo patrzeć, choćby się nie wiem jak marszczyło brwi. Tak była podobna do

małej dziewczynki, że nie chciało się wierzyć, aby to była prawdziwa mama. I teraz przechyliła tak jakoś przyjemnie główkę na bok, mówiąc swoim wdzięcznym głosikiem:

— Bo widzisz, Krzychu, w sklepach nie chcą nam już kredytować, a moich koronek nikt nie kupuje...

Krzych zmarszczył się, ile tylko mógł:

— O koronkach niema mowy: oczy sobie tylko psujesz przy nich. Ale z drugiej strony „Tusiek” przed odjazdem mówił, żeby nie obdłużać domku, bo to nasza „ostatnia ostoja”.

— No, więc co robić? Jak uważasz, Krzychu?

Krzych także nie wiedział, ale nie mógł przecież do tego się przyznać. Skoro się jest jedynym mężczyzną w domu, musi się znaleźć radę na wszystko. Powiedział więc tylko tak, jak to zawsze mawiał „Tusiek”:

— To się załatwi!

Potem założył ręce ztyłu i zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju naukos. (Tak postępował także „Tusiek”, gdy miał jakąś trudną sprawę). Wreszcie zatrzymał się i przełknąwszy ślinę powiedział bardzo grubym głosem:

— Mogę sprzedać swój aparat fotograficzny!

Ale na szczęście „Musia” zawołała zaraz:

— Ach, za nic w świecie, Krzychu! Aparat, który zdobyłeś na konkursie? I w dodatku robisz z niego takie śliczne zdjęcia!

Krzych zgodził się wreszcie nie sprzedawać aparatu. Zdobył go na wcale trudnym konkursie

krajoznawczym, a tak się wprawił w zdejmowanie, że pan Popiel, który prowadził w szkole „kółko fotograficzne”, powiedział:

— No, no, ty masz rzeczywiście specjalny „dryg” do fotografii!

Ale co robić w takim razie? Koniecznie trzeba skądś zdobyć pieniędzy, aby „Muśka” nie musiała pożyczać i ślęczyć nad koronkami, które w dodatku tak trudno jest sprzedać.

— Zresztą chyba „Tusiek” niedługo przyśle nam pieniądze, prawda? Jak uważasz, Krzychu? — powiedziała „Musia” i usta jej uśmiechnęły się, a oczy zaszyły łzami.

Na to już Krzych absolutnie nie mógł patrzeć: odwrócił cię gwałtownie i znowu zaczął chodzić po pokoju. Wreszcie nie wytrzymał: siadł na poręczy fotela obok „Muśki” i zaczął ją głaskać po ręce. Siedzieli tak w milczeniu jakiś czas, aż wreszcie Krzych zdecydował się powiedzieć to, o czym już oddawna myślał:

— Wiesz, „Musik”... Nie martw się tylko zanedo!... Ja myślę, że coś tam z „Tuśkiem” jest nie w porządku. Pomyśl tylko: to przecież już pięć miesięcy, jak „Tusiek” ani nie przysyła pieniędzy, ani nawet nie pisze!.. A przecież w ostatnim liście donosił, że powodzi mu się doskonale i że ma nadzieję urządzić się wkrótce na własną rękę.

— I ja o tem myślałam, Krzychu! — przyznała się „Muśka” i przytuliła Krzycha do siebie. — Ale cóżby się mogło stać? Rijo de żanejro to przecie duże miasto: stolica całej Brazyli! „Tusiek”

pisał, że wszystko tam jest, jak w europejskiem mieście: doktorzy, apteki... A i ludzie podobno życzliwi.

— Niby tak, ale czy to można na pewno wiedzieć? Może go uwięziła jaka szajka przemytników opjum, albo ukąsiła żmija, która wypadkiem dostała się do miasta?.. W każdym razie trzeba by to wyjaśnić.

— To może napisalibyśmy do poselstwa? — pomyślała głośno „Muśka”.

Krzych machnął ręką:

— Poselstwo ma ważniejsze sprawy na głowie. A zresztą gdyby poselstwo coś wiedziało, to samo już dałoby znać. Ja mam inną myśl.

Krzych zaciął się, bo bał się, że się znowu zaczerwieni, a czerwienienie się i niski wzrost — to były jego zmory. Był coprawda najmłodszy w drugiej klasie, ale bądź co bądź miał już trzynaście lat i kto go bliżej poznał, przekonywał się, że nie tak łatwo „zjeść go w kaszy”, jak mówił „Tusiek”. Inaczej chyba by go nie zrobili zastępowym! Prawda, że przy gimnastyce musiał stać na samym końcu lewego skrzydła, no i nie był taki silny, jak na przykład Czarnek, ale nieraz już położył wyższych od siebie „na wszystkie cztery łopatki”. Nie mówiąc już o stumetrówce lub skoku w dal, w których to wyczynach był jednym z pierwszych. Poza tem pływał, jak węgorz, trzymał się konia, jak giez; z floweru i wiatrówki wybijał 92 punkty na sto możliwych, a w „podchodzeniu”, to już nikt w całej drużynie nie mógł się z nim mierzyć. Rę-

kaw jego bluzy harcerskiej aż mienił się od kółek „sprawnościowych”, wśród których najmilsza mu była odznaka sprawności fotografa. Nie dawał „zjeść się w kaszy” także i w innych sprawach: nauka szła mu łatwo, a książki pożerał na tonny! Oczywiście przedewszystkiem przepadał za książkami podróżniczymi i życiorysami sławnych ludzi.

Krzych bowiem oddawna postanowił sobie, że musi czegoś „dokonać”. Nie wiedział jeszcze dobrze, co to ma być, ale w każdym razie coś, co go „wsławi”. Żeby zaś przygotować się do tego wielkiego czynu i budzić w sobie zapał do sławy, wpisywał do swego ukochanego notesu, grubego jak słownik, który sam sobie oprawił — różne bohaterskie aforyzmy i wlepił portrety sławnych mężów. Notes nazywał „dziennikiem okrętowym” i wpisywał tam również wszystkie ważniejsze zdarzenia swego życia.

Główne miejsce w notesie zajmowały portrety dwu ulubionych bohaterów: hetmana Czarnieckiego i Stanley’a. Postanowił też sobie, że w każdej trudnej sytuacji życiowej będzie zapytywać samego siebie, jak w danym wypadku postąpiliby ci bohaterowie, i według tego za każdym razem poweźmie swoją decyzję.

Teraz także pomyślał o tem i przestał się wahać: ani Czarniecki, ani Stanley nie znieśliby tego, aby ukochana przez nich osoba, będąca na ich opiece, musiała znosić niedostatek. Nie wahaliby się też przed zupełnie bezpieczną w gruncie rzeczy przejażdżką parowcem pasażerskim, aby odszukać

swego ojca, który może potrzebuje pomocy, a znikąd jej nie może otrzymać. A zresztą: taka wyprawa do „tropikalnych krajów” — cóż to za rozkosz! A jak będą go wszyscy podziwiać!

Krzych chrząknął więc głośno i powiedział jednym tchem:

— Otóż wiesz, „Musik”? Postanowiłem sam pojechać po „Tuśka”!

— Bój się Boga, Krzychu! — przestraszyła się „Muśka”.—Co też ty opowiadasz? Sam... taki kawał drogi? A zresztą — co będzie z nauką, ze szkołą?

— To się załatwi! — powiedział Krzych. — Nie dam się zjeść w kaszy. Ze szkołą nie będzie kłopotów, bo wyjechałbym akurat na wakacje. „Kawał drogi” nie jest znowu taki straszny, kiedy się jedzie zwyczajnym, bezpiecznym parowcem pasażerskim. A w Rijo de Żanejro poszedłbym od razu do poselstwa, zebrałbym wiadomości o „Tuśku”, odnalazłbym go i może być nawet wrócilibyśmy razem. „Tusiek” pisał, że odłożył sporo gotówki, więc nie byłoby trudności z powrotem.

— No, dobrze, ale za co pojechałbyś w tamtą stronę?

— I o tem się pomyślało trochę! — odpowiedział spokojnie Krzych. — Zgłoszę się do kapitała polskiego okrętu na „stiuarda” do posług i zato dadzą mi przejazd. A jeśli się nie zgodzą, to poproszę, żeby mnie przewieźli darmo, a „Tusiek” w Rijo zaraz zwróci. To się załatwi.

„Muśka” zaczęła płakać, powtarzając, że nie chce się rozstawać jeszcze i z Krzychem i zostać całkiem sama. Krzych tłumaczył jasno, że jest to jedyne wyjście, bo inaczej nie będą mieli poprostu z czego żyć, ale tłumaczenie to szło mu nieskładnie, bo w gardle coś mu przeszkadzało okropnie. Wreszcie obiecał solennie „Muśce”, że punktualnie co niedzielę będzie wysyłać list, a oprócz tego kartki pocztowe, jeśli zdarzy się coś ciekawszego, albo będzie okazja.

„Muśka” przestała wreszcie płakać, ale powiedziała coś, co Krzycha trochę ubodło:

— Ach, jakież ja niemądra, że tem wszystkim przejmuję się zawczasu! Przecież cały ten projekt jest zupełnie niemożliwy do wykonania!

Okazało się jednak, że tak źle nie jest: Krzych w wielkiej tajemnicy poszedł do pana Leśkiewicza, nauczyciela gimnastyki, a zarazem opiekuna drużyny, za którym wszyscy chłopcy przepadali. Pan Leśkiewicz nie był to taki zwyczajny nauczyciel: służył on kiedyś w marynarce i miał na ramięch wytatuowane jakieś wzory. Żadne chyba inne gimnazjum nie mogło się pochwalić takim nauczycielem i wystarczyło tak sobie niechcący wspomnieć o tem chłopakom z innej szkoły, żeby zaraz zmienili temat. A przytem nie wymawiał on „r”, co także było dla czegoś bardzo miłe.

Kiedy pan Leśkiewicz usłyszał o projekcie Krzycha, wcale się nie przeraził, ani go nie wyśmiał, jakby to może zrobiło wielu innych dorosłych, tylko wyciągnął ogromny atlas i mruknął:

— No, cóż... Bhazylja to bahdzo miły khaik...

Obejrzeni razem drogę polskiego statku, zaznaczoną na mapie czerwoną linią, i pan Leśkiewicz obliczył, że podróż będzie trwać koło trzech tygodni.

— Zhesztą — powiedział na zakończenie — postaham się dowiedzieć o wahunkach przejazdu. A ty ucz się tymczasem pohtugalskiego.

— Bardzo dziękuję! — szepnął Krzych (i niestety znowu zaczerwienił się).

— Czuwaj! — pożegnał go pan Leśkiewicz i... podał mu rękę.

Przez cały miesiąc, który zostawał do końca roku, Krzych wertował wszystkie książki o Brazylii, jakie mógł dostać, i uczył się języka portugalskiego z małej gramatyki, którą mu wydestał pan Leśkiewicz z Towarzystwa Emigracyjnego. W swoim kąciku miał już przygotowany plecak, manierkę, kompas i inne przedmioty, niezbędne w puszczy.

Wogóle pan Leśkiewicz był strasznie kochany: przedewszystkiem uspokoił „Muşkę”, która zaczęła się już godzić z tym wyjazdem, następnie ułatwił Krzychowi wydostanie potrzebnych dokumentów, a wreszcie dał mu list polecający do kapitana polskiego okrętu „Kościuszko” a swego dawnego kolegi — pana Boczkowskiego.

Nie mógł Krzych przysiąc, czy się nie czerwieni, kiedy stał z tym listem przed kapitanem Boczkowskim, który miał siwe, surowe brwi, choć bardzo młodą, czerstwą twarz.

— No, więc ty, zuchu, chcesz się zaciągnąć na mój statek, jak mi pisze kolega Leśkiewicz? — huknął kapitan tak głośno, jakgdyby Krzych stał na drugim końcu statku.

— Tak jest, panie kapitanie! — odpowiedział Krzych, stając na baczność.

— I w jakim charakterze? Jako sternik, czy jako marynarz? — huczał dalej kapitan nibyto poważnie, ale lewa brew drgała mu podejrzenie.

— Jako „stiuard”, panie kapitanie! — odpowiedział Krzych.

— A cóż ty umiesz?

— Cośnieważ tam umie. Potrafię zrobić herbatę, kakao, usmażyć jajecznicę i parę jeszcze prostych potraw; umiem przyszyć guzik, a nawet zacerować dziurę! — meldował Krzych.

— Pi-pi-pi! — zawołał kapitan. — Nawet zacerować dziurę? Ależ jesteś ideałem „stiuarda” w takim razie! Dostajesz więc przydział do mnie, z obowiązkiem łatania jednej dziury dziennie.

— Rozkaz, panie kapitanie! — odpowiedział Krzych, myśląc sobie w duszy, że jednak starsi nigdy nie mogą mówić całkiem poważnie.

Tak się zaczęła służba Krzycha i trzeba przyznać, że wcale nie była ciężka. Krzych starał się robić naturalnie jak najwięcej, żeby czasem nie wyglądało, że jest zabrany z łaski, ale mimo to miał jeszcze dosyć czasu, aby oglądać statek, albo wyskoczyć na pokład, gdy zdarzyło się coś ciekawego. Wszyscy zresztą pilnie rozglądali się po morzu. A każdy spotkany parowiec oglądano uważnie przez lornetki i gołem okiem.

Krzych szybko otrząsnął się z niemiłego uczucia skrobania w sercu, które go dręczyło od chwili pożegnania uśmiechającej się przez łzy „Muški”. Całą swoją miłość do niej wylewał w pisaniu obszernego listu, w którym zaznaczał, dzień za dniem, co widział i słyszał. A ponieważ, pisząc ten list, stawiał zawsze przed sobą fotografię „Muški”, więc wydawało mu się prawie, że z nią rozmawia.

Tem więcej nawet starał się zobaczyć i usłyszeć, aby mieć o czym donieść „Muśce”, która musiała — biedaczka — zostać na miejscu i nie mogła oglądać tych wszystkich cudów. A były istotnie cuda w tej drodze!

Czy przypuszczał bowiem Krzych, siedząc sobie spokojnie w drugiej ławce pod oknem w klasie II-ej „B”, jeszcze przed miesiącem, że zobaczy takie cudo, jak „ryby latające”? Doprawdy, nawet nie wiedziałby na pewno, gdyby go kto zapytał o nie jeszcze wtedy, czy istnieją one naprawdę, czy też są taką samą bajką, jak ów „wąż morski”, o którym tyle piszą gazety latem. A tymczasem tutaj widział na własne oczy niewielkie, błyszczące jak drogie kamienie rybki, które podrywały się z fal i na swoich skrzelałach-skrzydółkach, przezroczystych jak skrzydełka ważki, przelatywały kilkanaście metrów.

Czarujący był też widok fosforyzacji morza, wywołany — jak się Krzych dowiedział — przez drobne żyjątka. Morze wyglądało jak rozpuszczony brąz z zielono-złotą patyną, a każda fala, od-

rzucana przez okręt, mieniła się innym odcieniem tej cudownej barwy. A już oderwać nie mógł oczu od delfinów, które wyskakiwały wysoko z wody, a potem nurkowały zpowrotem, wyprzedzając się wzajemnie i ścigając jakgdyby z okrętem. Z trudem uprzytamniał sobie, że są to właściwie ssaki, tak były podobne do ryb, z wyglądu i ruchów. Drugiego ssaka morskiego — wieloryba — o mały włos także nie ujrzał, bo pewnego popołudnia zrobił się wielki alarm, że widać fontannę ciepłego powietrza, które wieloryb wyrzuca wgórę, gdy wypływa z pod wody. Starszy kucharz miał nawet pożyczyć Krzychowi lornetki, aby też popatrzył, ale sam się tak do niej przyczepił, że zapomniał o obietnicy, a tymczasem wieloryb (jeżeli tylko on to był naprawdę) zdążył zniknąć.

Wreszcie wielkiem urozmaiceniem życia okrętowego był tradycyjny obchód przejazdu przez równik, podczas którego marynarze przebierali się za Neptuna, władcę mórz i jego dwór. Wszystkich nowicjuszów miano „ochrzcić” na nowo, co się też odbywało w sposób dość dziwny, choć zabawny. Naprzód malowano im twarze jakąś mazią, którą potem zeszkrobywano wielką drewnianą brzytwą, a wreszcie pacjenta wrzucano do wielkiego basenu, ustawionego na pokładzie. Następnie każdy z nowicjuszów otrzymywał nowe, „morskie” imię. Ze swojego imienia Krzych był bardzo dumny, bo nazwano go „Delfinem”, niczem następcę tronu w dawnej Francji. Potem odbyła się uczta z muzyką i tańcami. Było naprawdę bardzo wesoło!

Wszystkie wspaniałe wrażenia notowane były oczywiście w grubym notesie pod odpowiednią datą i... stopniem szerokości geograficznej.

Pewnego dnia, już pod koniec podróży, Krzych spał jeszcze smacznie rano, gdy rozległ się tubalny krzyk kapitana:

— Stiuard!

Krzych zerwał się jak oparzony, chlusnął sobie w twarz zimną wodą i wpadł do kajuty kapitana:

— Co pan kapitan rozkaże?

— Pan kapitan rozkaże, aby pewien mały śpioch popatrzył w okno, bo prześpi najpiękniejszy widok! — zahuczał nibyto groźnie kapitan.

— A... rzeczywiście! — zająknął się z podziwu Krzych, patrząc na zielone pióropusze palm i bananów. — Ale zupełnie wygląda, jakbyśmy jechali szeroką rzeką, prawda, panie kapitanie?

— Wjeżdżamy już w zatokę Rijo de Żanejro!

— No, to wcale się nie dziwię — powiedział poważnie Krzych — że Cabral myślał o tej zatoce, że to rzeka, i nazwał to miejsce „Rzeką Stycznową” — Rijo de Żanejro...

Tu Krzych popatrzył z ukosa, czy kapitan poznał się na jego uczoności.

— No, a dlaczego „stycznową”? — uśmiechnął się kapitan.

— Bo to było w styczniu 1500 roku! — odpowiedział prędko Krzych i wcale się nie zaczerwienił.

— No, pięknie, pięknie, mój uczony stiuardzie! — powiedział kapitan. — Ale teraz zbieraj manatki, bo niedługo dobijamy do portu!

Niewiele było tego zbierania: dobrze wyładowany plecak, aparat fotograficzny w futerale przez ramię i ciupażka do ręki — oto wszystko. Krzych już dawno był gotów, ale okręt wyprawiał różne dziwy i nie dobijał do portu. Wykręcał się bokiem, zatrzymywał, hurkotał jakimiś łańcuchami i ledwo, ledwo się poruszał. Wreszcie podpłynęła do okrętu maleńka motorówka i, zaczepiwszy się liną, pohołowała olbrzyma do samej przystani. A tam już był ruch, co się zowie! Czarni i półczarni tragarze w zielonkawych uniformach biegali po przystani i porozumiewali się na migi z podróżnymi, bo w ogólnym hałasie nikt nikogo nie mógł zrozumieć.

Wreszcie spuszczone mostek i Krzych pobiegł pożegnać się z kapitanem oraz podziękować mu za wszystko.

— No, więc dezertujesz ze służby, co? — zahuczał kapitan. — Pamiętaj, że jakbyś ojca nie znalazł, to spotkasz mnie tu znowu za kilka dni, gdy będę wracał z Argentyny. Mogę cię zabrać zpowrotem. Tem bardziej, że—jak mi się zdaje—znowu oberwał mi się guzik...

Krzych był tak przejęty, że tylko zasalutował pięknie do rogatywki harcerskiej i pobiegł do mostku. Urzędnicy, którzy sprawdzali paszporty i przeprowadzali rewizję bagaży, pokazywali go sobie ze zdziwieniem i coś mówili prędko między

sobą. Krzych podszedł bliżej i powiedział z pewną miną:

— Bą dija, sinjores! *).

Niedarmo przecie uczył się w domu i na statku języka portugalskiego!

— Bą dija! Bą dija! — odpowiedzieli śmiejąc się urzędnicy i już nie zatrzymywali wcale Krzycha.

Ruszył więc ostro przed siebie, choć robiło się coraz goręcej i plecak ciążył wcale poważnie. Wiedział mniej więcej, w jakim kierunku trzeba iść do poselstwa, ale dla pewności układał sobie w drodze zapytanie o drogę do „Legasą da Republika da Polonja”. Sam znalazł jednak gmach poselstwa i dziwne wzruszenie go ogarnęło, gdy wśród palm, w pobliżu wspaniałego morza, ujrzał naraz Białego Orła na czerwonym tle i czerwono-białą drążek do sztandaru.

Nieznacznie zasalutował przed tym pięknym znakiem, a potem zadzwonił śmiało i poważnemu szwajcarowi powiedział:

— Chciałbym się widzieć z którymś z panów urzędników poselstwa albo konsulatu. W sprawie osobistej.

Za chwilę wyszedł szczupły, wysoki pan i spytał:

— Kawaler w jakiej sprawie?

Dowiedziawszy się, o co chodzi, ów pan z poselstwa zmarszczył czoło i powiedział:

*) Dzień dobry, panowie!

— żarski... żarski... Nie mogę powiedzieć, aby to nazwisko nie było mi znane. Aha, już wiem! żarski Michał był tu w poselstwie przed wyjazdem...

— Przed wy... — Krzychowi słowa zamarły na ustach.

— Tak, tak, nie wydaje mi się, żebym miał się mylić. Był tu przed wyjazdem w „interior”. Pożegnać się...

Krzych miał wrażenie, że wszystko się w nim wali, a oczy zasłania mgła. Kto wie nawet, czy łyzy nie zakreśliły się w kątach oczu zastępowego Ry-si? Wreszcie spytał cicho:

— A daleko, proszę pana, ten Interior?

— Hm, hm! — zamruczał pan z Poselstwa. — Nie mogę tego powiedzieć, „interior” bowiem w tu-tejszym języku oznacza wogóle — wnętrze kraju. Wnętrze — że tak powiem — mało jeszcze cywili-zowane: bez dróg, miast, poczty, telegrafu i po-licji. To wszystko nazywają tu „interiorem”, choć czasem nazywają tak nawet jakąś zupełnie przy-zwoitą wieś, tylko nieco dalej od stolicy położoną.

— W takim razie musiałbym ojca szukać w ca-łym „wnętrzu” Brazyli — powiedział Krzych zu-pełnie już zgnębnym głosem.

— Nie można utrzymywać, aby to nie była obawa nieco przesadzona — powiedział pan z po-selstwa. — Przedewszystkiem bowiem odrzucimy całkowicie gorącą północ Brazyli, gdzie Polacy się nie osiedlają.

Krzych zaczął odzyskiwać potroszę nadzieję

i słuchać uważnie poważnego pana z poselstwa. Ostatnie jego słowa zdziwiły nawet Krzycha:

— Gorącą północ? — spytał. Ale zaraz sobie przypomniał, że na południowej półkuli wiele rzeczy jest naodwrot, i poprawił się: — Prawda, prawda, przecież północ tutaj leży bliżej równika, a południe bliżej bieguna!

— Właśnie! Otóż chłodniejsze południe nie jest wcale niedogodne dla osadników polskich.

— Nie jest niedogodne?.. Aha, rozumiem! I które to mianowicie stany?—spytał Krzych, prostując się energicznie. — Bo mapę Brazylii znam doskonale!

— Zaczynając od południa: stan Rijo Grande do Sul, następnie stan Santa Katarina, potem stan Parana, a wreszcie trochę Polaków jest w stanie San Paulo i maleńka grupka w stanie Espirito Santo. Mojem zdaniem jednak, nie byłoby niepraktycznie ograniczyć poszukiwania tylko do trzech stanów południowych.

— Tylko trzy stany? No, to jeszcze możliwe. A duży to obszar? — dopytywał się Krzych i zaraz wyciągnął swój gruby notes oraz wieczne pióro.

— No, zawsze... hm, hm... taki, jak cała Polska.

— Jak cała Polska?—przeraził się Krzych.— Na mapie nie wygląda to tak strasznie.

— A nawet trochę większy: taki, jak półtorej Polski. Ale nie cała ich powierzchnia jest zamieszkała. Zamieszkały jest właściwie tylko wschód.

Zachód jest jeszcze dość dziki, pokryty w znacznej mierze lasami, albo stepami. No, a w tych zamieszkałych okolicach Polacy też tworzą pewne skupienia większe. Sądzę właśnie... hm, hm... że ojciec kawalera musiał się osiedlić gdzieś w pobliżu któregoś z tych skupień, skoro — jak sobie przypominam — miał zamiar zakupić sobie kawał ziemi i założyć coś w rodzaju folwarczku, tak zwaną — po tutejszemu — „fazendę”.

— Tatuś miał zamiar kupować ziemię? — zdziwił się Krzych. — Przecież tatuś jest technikiem i pracował tu w firmie elektrycznej. Nic nam nie pisał o tym projekcie...

— Nie jest niemożliwe, że ostatni list państwa nie doszedł. Pamiętam, że go wysyłał przez jakiegoś znajomego, który wracał do kraju. Nie jest wykluczone, że ów znajomy zapomniał, albo zgubił list, albo nawet nie oddał go przez lenistwo, czy niedbalstwo. To się zdarza — muszę powiedzieć.

— A my nie mamy żadnej wiadomości od pół roku! — zawołał Krzych. — Może nawet „Tusiek”... to jest... ojciec napisał, że przez dłuższy czas nie będzie mógł dać żadnej wiadomości z owego... interioru i żebyśmy się nie niepokoili?..

— Bardzo być może — powiedział pan z poselstwa. — I cóż teraz kawaler zamierza zrobić? Może najlepiej byłoby, gdybyśmy ogłosili w tutejszych gazetach polskich, aby każdy, ktoby słyszał o panu żarskim, dał znać do poselstwa, bo przecie kawaler sam nie będzie ojca szukał?

Krzychowi przyszło w tej chwili na myśl, że nie ma pieniędzy ani znajomych, ani nawet (do tego się niechętnie przyznawał!) dostatecznych sił i umiejętności, aby dać sobie radę w takim wielkiem przedsięwzięciu na wielkiej, obcej ziemi. Ale zaraz pomyślał też sobie, że ani Czarniecki, który nie wahał się rzucić konno przez morze, ani Stanley, który trzykrotnie odbywał tę samą straszną drogę przez puszcze afrykańskie — nie wahaliby się na jego miejscu. Powiedział więc, choć głos mu się dziwnie łamał:

— Najpewniej jednak będzie, jeśli... Tak, tak... sam ojca poszukam. Trudno! Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie to są te... większe skupienia polskie. Czy bardzo daleko od siebie?

— Hm, widzę, że kawaler na serjo bierze się do tej wyprawy! — mruknął pan z poselstwa. — Przypomina mi to jednego polskiego chłopca, nazwiskiem Kuruc, który tu przyjechał mając lat piętnaście.

— I cóż się obecnie z nim dzieje? — spytał Krzych niespokojnie, bo „powróżył” sobie, że jego los będzie podobny do losów owego Kuruca.

— Obecnie jest on bogaczem, który niedawno kupił od rządu brazylijski wodospad.

— Wodospad? To można kupić wodospad? To jednak ta Brazylja nie jest taka straszna!

— No, różnie bywa! — uśmiechnął się pan z poselstwa.

— Jakoś to się załatwi! A co do tych osiedli

polских? Chciałbym jak najprędzej zacząć poszukiwania.

— A więc tak: w stanie Rijo Grande do Sul są trzy takie skupienia: „Guarani” — nad granicą argentyńską, koło „San Felicjano”, blisko Atlantyku, i w „Erechiń” w pobliżu stanu Santa Katarina. W stanie Santa Katarina — dokoła Itajopolis i wzdłuż granicy ze stanem Parana. Wreszcie w samej Paranie jest kilkanaście większych skupień: najliczniejsze oczywiście w pobliżu stolicy stanu — miasta Kurytyba, następnie w pobliżu miasta Ponta Grossa, na południu stanu koło San Mateus i Mareszal Malet, na północy zaś w pobliżu miejscowości Tibazi i Teresinji kolonja Apukarana... Kawaler to wszystko notuje? Najlepiej niech kawaler spojrzy na mapę, gdzie są zaznaczone te koła czerwonym ołówkiem! To są właśnie owe skupienia.

— Muszę to sobie zaznaczyć na swojej mapce! — powiedział Krzych i wyciągnął z dumą mapkę Brazylii, którą wydarł ze swego ulubionego atlasu.

Przerysowując owe koła, rozpytał się jeszcze o niektóre miejscowości, których nie było na mapie, i wpisał je sobie wiecznym piórem. Wreszcie spytał:

— Czy dużo Polaków jest wogóle w Brazylii?

— Trudno jest to ustalić dokładnie, bo wielu Polaków jest rozproszonych. Liczby, które podają sami koloniści, są też często nieścisłe. Ale można liczyć mniej więcej, że w Paranie jest nas około

200 tysięcy (z czego w samej Kurytybie — ponad 10 tys.), w stanie Santa Katarina około piętnastu tysięcy, a w Stanie Rijo Grande około trzydziestu pięciu. Razem mniej więcej 250 tysięcy, a doliczywszy dziesięć tysięcy na rozproszonych w innych stanach — 260 tysięcy.

— Nie myślałem jednak, że tak dużo! — zawołał Krzych.

— Sporo. A dodajmy jeszcze: 60 tysięcy Polaków w Argentynie, w Urugwaju i Paragwaju po zgórą 1000, zaś w Peru, Chile, Boliwji i Kolumbji mniej więcej po 500 osób, a nawet w Venezueli około 100 — utworzy się w ten sposób spora gromadka. Naturalnie to nie to, co cztery i pół miliona Ameryki Północnej, ale i tu staramy się trzymać razem.

— W takim razie mogę mieć nadzieję, że przecie nie zginę wśród tylu rodaków! — powiedział stanowczo Krzych, sam sobie dodając odwagi, która mu na jakiś czas uciekła.

— Hm, zapewne... Nie możnaby utrzymywać, że ta nadzieja nie jest w pewnej mierze uzasadniona, ale... czy kawaler posiada choć trochę gotówki?

Tu naturalnie Krzych musiał się, jak na złość, zarumienić, choć właściwie nie było czego.

— Owszem... To jest... niewiele, ale zawsze... Mamie udało się ostatnio dostać trochę pieniędzy.

— Bo kawaler tak dzielnie się spisuje, że może pan poseł nie byłby przeciwny temu, aby udzie-

lić kawalerowi jakiejś zapomogi... Albo może tu-
tejsi Polacy złożyliby się...

Krzych zaczerwienił się, jak burak w ukropie,
i powiedział prędko:

— Bardzo panu jestem zobowiązany. Ale —
pan rozumie przecie — to byłaby jałmużna. Je-
śli panowie naprawdę chcą mi pomóc, to proszę
zamówić sobie u mnie swoje fotografie. Robię je
wcale nieźle i nawet przeszedłem kurs retuszu
u zawodowego fotografa. Zresztą jeśli fotografie
będą nieudane — sam nic nie wezmę.

Z tego przemówienia Krzych był bardzo dum-
ny i postanowił je sobie zapisać w notesie. A pan
z poselstwa zgodził się, chociaż z nieco niedowie-
rzającym uśmiechem. Krzychowi drżały trochę rę-
ce, zwłaszcza gdy zdejmował samego posła, ale
skutek przeszedł najśmielsze oczekiwania. Wszy-
scy byli zachwyceni, a żona pana posła powiedzia-
ła nawet, że to jest najlepsza z fotografii, jakie
wogóle miała. Ale Krzych i tak postawił bardzo
niską cenę, aż wszyscy się zdziwili.

— Chodzi mi tylko o to, żebym miał możliwość
kupienia sobie nowych klisz i znaczków poczt-
owych na korespondencję z mamą — powiedział
Krzych.

— No, a żywność? — spytał, uśmiechając się,
poseł..

— To się załatwi! — powiedział Krzych. —
Nie dam się zjeść w kaszy! Żywność spodziewam
się zdobywać za pomoc w pracy u ludzi po drodze.

Poseł już więcej nie pytał, bo zrozumiał wi-

docznie, że zastępowi Rysi rzeczywiście nie dają się zjadać w kaszy.

Po obliczeniu swych funduszków Krzych przekonał się, że wystarczy mu z biedą na bilet drugiej klasy na małym okręciku, chodzącym z Rio do Paranagua, a po kupieniu klisz i pewnej ilości znaczków pocztowych — zostanie już całkiem bez grosza. Mógł coprawda nie kupować znaczków, aby mieć parę „milrejsów” rezerwy, ale obawiał się, że później mu zabraknie na korespondencję i „Muśka” będzie się niepokoić.

— To się załatwi! — mruknął i kupił znaczki. Zaraz też napisał obszerny list do „Muśki”, opisując drogę i ostatnie przygody.

Mały stateczek dał mu się więcej we znaki, niż wielki transoceanik „Kościuszko” i Krzych odechnął z ulgą, gdy wreszcie stanął w Paranagua. Na bilet jednak do Kurytyby pieniędzy mu już nie starczyło. Nie przejmując się tem chwilowo, siadł sobie gdzieś na stopniach domu w cieniu i zaczął koncytować drugi zkolei list do „Muśki”. Wrzuciwszy go do skrzynki, nabrał odwagi, jakby po rozmowie z „Muśką”, i ruszył na miasto. Wiedział od pana z poselstwa, że istnieje tu polski hotel pana Lipczyńskiego i miał nadzieję tam zarobić parę groszy przy sprzątanii lub myciu naczyń. Pan Lipczyński wcale się nie zdziwił tej prośbie i tylko spytał rzeczowo:

— Czy aby potrafisz porządnie pracować?

— Przekona się pan — odpowiedział spokojnie Krzych, zdejmując plecak.

— A ile żądasz na dzień?

— Wyżywienie i za trzy dni pracy — koszt biletu drugiej klasy do Kurytyby.

Krzych wiedział już, że w Brazylii istnieją tylko dwie klasy w pociągach i na statkach, ale przekonał się, że ta druga klasa jest gorsza od europejskiej czwartej. Co jednak było robić? Była znacznie tańsza.

Umowa stanęła i po trzech dniach Krzych — dumny z siebie — pożegnał się z panem Lipczyńskim, podając mu poważnie rękę. A w godzinę później rozparł się wygodnie w wagonie drugiej klasy. Droga z Paranagua do Kurytyby trwała tylko cztery i pół godziny, ale Krzych żałował, że nie trwa dwudziestu czterech godzin, taka była piękna! Wznosiła się wielkimi serpentynami wgórze, wpadała w tunele, przemykała się małymi mostkami ponad przepaściami lub sunęła ostrożnie po torze, przyczepionym kunsztownie do skały. A wszędzie kipiała wprost wspaniała, rozrzutna roślinność, dotykając prawie okien wagonu.

Im wyżej, tem krajobraz stawał się uboższy, ale też oddychało się o wiele lepiej. Nie było tu już tej gorącej wilgoci, która utrudniała oddech i poruszanie się tam wdole, na poziomie morza. Wreszcie pociąg przestał wspinać się wgórze i zaczął posuwać się po płaskowyżu parańskim. W ciągu tych paru godzin wzniósł się z nad poziomu morza na wysokość prawie 900 metrów. Z okien wagonu widać było spore obszary oczyszczone całkiem z drzew i zasiane roślinami

uprawnieni, a gdzie niegdzie stał jakby na pustkowiu prosty domek z łupanych desek. Krajobraz nie był tu zbyt ciekawy, ale klimat o wiele przyjemniejszy.

— Wir sind schon nahe! — usłyszał naraz Krzych koło siebie po niemiecku.

— Jawohl! Man sieht schon die Curityba! — odpowiedział inny głos.

A w sąsiednim przedziale odezwał się naraz ktoś po polsku, z wyraźnym mazurskim akcentem:

— No, zbiroj-ze sie, Pietrek! Dojizdzamy jus do Kurytyby.

Do kompletu odezwał się ktoś i po portugalsku:

— *ça szegamos!* *).

Pociąg wpadł na niewielki dworzec kurytybski i Krzych razem z innymi pasażerami ruszył ku wyjściu. Przy drzwiach zobaczył parę małżeńską, o której mógłby przysiąc, że byli to Polacy: kobieta miała na ramionach chustkę, a mężczyzna, choć miał na głowie czarny kapelusz z szerokim rondem, zdradzał gęstemi, płowemi wąsami, że płynie w nim krew słowiańska.

Krzych podszedł do nich i zapytał:

— Czy nie mogliby mi państwo poradzić, u kogo mógłbym tu przenocować? Jestem tu obcy...

— O, a skąd-ze to jedzicie? — spytała go kobieta.

— Z Warszawy! — powiedział poprostu Krzych.

*) Już dojeżdżamy!

— Cie go! Toście spory szpacyrek zrobili! — zaśmiał się chłop. — No, to chodźcie z nami do Ludowego Domu, tam się cosik wymyśli.

W Domu Ludowym zastali sporą gromadkę ludzi, którzy w bufecie popijali piwo. Kiedy przewodnik Krzycha wyjaśnił jego sprawę, koło Krzycha zgromadził się zaraz spory tłumek.

— Do konsulatu trzeba go skierować! — rzucił ktoś.

Ale natychmiast wyskoczył z tłumu mały i chudy człowieczek, w pomiętym kołnierzyku i z przekrzywionymi binoklami na nosie.

— Co? Do konsulatu? — zapiszczał ze złością. — Konsulat mu nic nie pomoże! To wielcy panowie, którzy nie mają faktycznie zrozumienia względem naszych potrzeb! Ale ja mam na nich sposób! Zaraz jutro taki artykuł absolutnie wysmaruję w swoim „Kurjerze”, że faktycznie hotel dla chłopca wynajmą! Jakto? To syn naszego narodu przyjechał przeważnie szukać ojca w bezmiarach — że tak powiem — puszczy brazylijskich, a oni nie chcą nawet faktycznie palcem kiwnąć, żeby mu dopomóc? To się nazywa opieka? Ja im pokażę! Nawet faktycznie dobrze, że tak się zdarzyło: będę miał przeważnie dobry temat do dania im nauczki!..

Mały człowieczek aż zachrypnął od krzyku i opluł sobie niechcący brodę. Inni jednak zaczęli go mitygować:

— Dajcie spokój, panie redaktorze! Konsulat

robi, co może. Nie można narzekać: konsul jest godny i ludzki człowiek.

— Już ja wiem faktycznie, co mówię! — srożył się pan redaktor. — Nauczę ich rozumu absolutnie i ujmę się przeważnie za chłopcem!..

— O ile ja się zgodzę! — wyrwało się nagle Krzychowi, choć sam trochę się przestraszył swojej odwagi.

— Jakto? — osłupiał redaktor.

Krzychowi było całkiem już niewyraźnie, ale brnął dalej, choć czerwienił się po uszy:

— Nie mogę się na to zgodzić, żeby przeze mnie miał nieprzyjemność polski konsulat... Zresztą nie proszę wcale łaski, ani jałmużny. I nie mam pretensji do nikogo. Pan mnie nie zrozumiał... Za nocleg i wyżywienie odpracuję, jak będę mógł! Nie dam się przecie zjeść w kaszy i sam dam sobie radę.

W gromadce, otaczającej Krzycha, zamruczano przyjaźnie, co Krzych zauważył z wielką dumą, a ktoś od bufetu zawołał głośno:

— Brawo! Dobrześ dał po nosie Pluteczкови, sinjor!

— Niech pan sobie nie pozwala zanadto, panie Potocki! — krzyknął redaktor. — Dowcipy z „interioru”!

Po tych słowach ktoś rozepchnął nagle tłum i wysoki mężczyzna z bardzo długimi wąsami i w wielkim czarnym kapeluszu stanął przed panem Plutkiem.

— Czy szanowny pan Pluteczek życzy sobie mieć obcięte uszy, czyli zostać — jak to się nazywa po storopolsku — „oszelmowany”? Bo u mnie tego nie kupić! Zaraz wyjmuję „fakon” i mogę to zrobić nietylko „absolutnie” i „przeważnie”, ale nawet „faktycznie”!

Krzych z przerażeniem ujrzał, że ów dziwny człowiek wyciąga rzeczywiście z pochwy olbrzymi zagięty nóż, podobniejszy do szabli, niż do noża. Zobaczył też, że ludzie odsuwają się szybko, a redaktor Plutek blednie. Przestraszył się, że to wszystko przez niego.

— Proszę pana! — odezwał się, patrząc wysoko w górę, bo pan Potocki był od niego chyba ze trzy razy wyższy. — Bardzo panu dziękuję za uznanie i wogóle, ale niech pan będzie łaskaw nie robić temu panu!

Olbrzym odwrócił powoli głowę i popatrzył uważnie wdół, jakby szukał, kto to tam wdole mówi. Następnie poważnie pociągnął wdół wąsy i schował nóż do pochwy.

— Widzę, że sinjor pochodzi z inteligentnej rodziny, a ja to zawsze ceniłem i cenię. Sam pochodzę ze starej rodziny arystokratycznej, o której musiał sinjor słyszeć?

— Owszem... — bąkał Krzych, zauważywszy zarazem, że paru mężczyzn uśmiecha się ukradkiem, a olbrzym lekko się zatacza.

— Brutal i blagier! — szepnął zjadliwie redaktor, ale tak, żeby tego nie usłyszał pan Potocki.

Tymczasem olbrzymi protektor Krzycha wrócił do bufetu i huknął olbrzymią pięścią w stół:

— „Kaszasu” dla młodzieńca! Czyli „wody”, mówiąc po ludzku!

— Dziękuję, ale alkoholu nie piję! — odmówił Krzych. — Jestem skautem.

— Jakto? Nawet i piwa? — przeraził się pan Potocki.

— Nawet i piwa! — uśmiechnął się Krzych.

— Ha, może to i racja! — westchnął Potocki. — Ja, widzisz sinjor, pracuję w interiorze, zarabiam spore sumy, a potem przyjeżdżam do miasta i wszystko tracę. Gdyby nie to, miałbym już dzisiaj taki majątek, że niech się schowają wszystkie Gimarajsy, Ribejry i Jongszery, którzy się mają za bogaczy!

— Więc czemuż pan taki robi? — odezwał się nieśmiało Krzych. — Przecież alkohol...

— Szeroka natura szlachecka! — westchnął Potocki. — Moi pradziadowie Tatarów bili i złotem siali wkoło, a ja ot tym niklem mogę tylko szastać!..

Tu pan Potocki wyjął garść drobnej monety i rzucił w stronę właściciela bufetu, wołając:

— Nakarmić mi tu młodzieńca! Jest on moim przyjacielem. Co pan sobie życzy, sinjor... jak sinjorowi na imię?

— Krzych... to jest Krzysztof.

— Aha, sinjor Kristofor!

Krzych nie wiedział, jak ma mówić z tym olbrzymem, który się zwracał do niego przez „si-



Roślinność skał nadmorskich
wybrzeży Brazylii



Pałacyk polskiego poselstwa w stolicy Brazylii — Rio de Janeiro
fol. J. O.



Droga brazylijska. Z prawej strony Ijany fot. Weiss



Tabor emigrantów na świeżo przebitej drodze

fot. Weiss

njor", czyli pan, a zarazem rozkazywał, jak generał. Widać było z jego miny, że jest poczciwy z kości, ale musiał też być i awanturnik co się zowie. Głód miał jednak swoje prawa, i Krzych przysiadł się pilnie do jakiegoś piekielnie twardego kawałka mięsa z czarną fasolą i ryżem, co stanowi prawie codzienną potrawę w tych okolicach. A kiedy na zakończenie położono przed nim całą kiść bananów i wspaniały, złoty ananas, Krzycho wi zaśmiały się oczy, jako że hm... trzeba to wyznać... lubił bardzo słodczye.

— No, a teraz sinjor pójdzie do mego pokoju w hotelu i prześni się, a ja...

— A pan?

— A ja pójdę zobaczyć, czy wszędzie mają równie podłe piwo, jak tutaj!

Nie pomogły słabe wymawiania się Krzycha: pan Potocki wziął elegancką taksówkę i zawiózł go do hotelu, a sam znowu wyszedł na miasto. Ani Krzych się opatrzył, jak zasnął i przespał noc. Ale gdy się obudził i spytał o swego opiekuna, portjer wzruszył ramionami:

— Kiedy sinjor „Potoki” przyjeżdża do miasta i chce się zabawić, to tylko jego juki leżą u nas, a muły stoją w stajni, ale on sam nie nocuje nieraz przez kilka nocy.

Wobec tego Krzych napisał tylko kilka słów podziękowania i położył kartkę na widocznem miejscu, a następnie zabrał swoje rzeczy i udał się do konsulatu, aby się przedstawić i prosić o pomoc w poszukiwaniu ojca. Konsul przyjął go bardzo

życzliwie, ale — niestety — o ojcu miał bardzo mało informacji. Potwierdził tylko to, co Krzych już wiedział, mianowicie, że ojciec udał się gdzieś w głąb kraju szukać dobrej ziemi do założenia „fazendy”.

— Czy pan konsul nie myśli, że mogłoby się co stać ojcu w drodze? — wykrztusił Krzych, zgrozy bojąc się odpowiedzi.

— Mój Boże! — westchnął konsul. — Trudno to wiedzieć. Niby od dłuższego już czasu jest spokojnie i żadnej rewolucji, które tu się zdarzają często, niema. Jedynie na granicy Parany i Santa Katariny włóczą się niewielkie bandy tak zwanych „fanatikos”. Są oni czemś pośredniem między rewolucjonistami, sekciarzami i bandytami. Ale rządy obydwu stanów wyłapują ich i, zdaje się, że większe niebezpieczeństwo od nich obecnie nie grozi. A poza tem w Brazylii jest naogół spokojniej, niż w Europie: złodziei niema prawie wcale, a ludzie wogóle dość łagodni i uprzejmi. Ale cóż to można wiedzieć? Brazylijanie są bardzo obraźliwi i czuli na obrazę honoru, na którą reagują zaraz strzałami.

— No, a żmije? — spytał z ukrytym strachem Krzych. — Czytałem, że są tu grzechotniki i „żararaki” bardzo jadowite.

— Zapewne, jest to poważne niebezpieczeństwo, ale istnieje pewny ratunek w postaci surowicy. Dobrze też chronią buty lub sztylpy, bo żmije kęsają przeważnie w nogi. No, a poza tem... trzeba uważać. Mojem zdaniem, istnieje jednak

gorsze niebezpieczeństwo, niż bandyci i żmije: to owady i choroby. Zaczynając od paskudnej pchły ziemnej, która lokuje się pod paznogciami palców od nóg, do choroby, zwanej „ankilostoma”, która wywołana jest przez pasorzyty kiszki dwunastnicy — istnieje tu sporo niebezpieczeństw z tej strony. Oczywiście, że znajomość tych chorób, higieniczne życie i posiadanie lekarstw usuwa w znacznym stopniu to niebezpieczeństwo. Przedewszystkiem zaś należy codziennie wieczorem myć nogi w gorącej wodzie, nie jeść nieświeżego mięsa i nieznanych owoców, a także nigdy nie pić surowej wody.

— Nie myślałem, że tak łatwo można tu zachorować! — szepnął Krzych. — Słońce świeci tu tak pięknie, roślinność taka bujna...

— Właśnie ta bujność jest powodem walki o byt! Najlepiej będzie, gdy dam kawalerowi broszurę o tutejszych chorobach, a może i trochę lekarstw się znajdzie. Wtedy będę miał spokojniejsze sumienie.

Zaopatrzony w lekarstwa, Krzych miał już odchodzić, gdy konsul go spytał:

— No, dobrze, więc kawaler ma zamiar pieszo ruszać?

— Tymczasem pieszo, a po drodze może jakaś furmanka się trafi — odpowiedział Krzych — zresztą mam wprawę w maszerowaniu: zrobiłem sporo wycieczek. Jestem przecie zastępowym w harcerstwie!

— Hm, może rzeczywiście jakaś furmanka się trafi... A dokądże kawaler ma zamiar dotrzeć?

— Zacznę od północnych kolonij parańskich: od Apukarany i będę posuwać się na południe do Santa Katariny i Rijo Grande.

— No, no! To kawaler, widzę, jest już w Brazylji jak u siebie w domu?

— W każdym razie nie dam się zjeść w kaszy! — odpowiedział poważnie Krzych i podziękował raz jeszcze konsulowi za pomoc i życzliwość. Potem narzucił plecak i ruszył w drogę.

Pogoda była piękna, bo nie było ani zbyt gorąco, ani nie dokuczał deszcz. Zima brazylijska, która wypada właśnie w porze naszego lata, miewa często takie piękne dni. Krzych szedł rażno i uśmiechał się, gdy oglądano się za nim na ulicy.

Wreszcie minął małe domki przedmieścia, ciągnące się nieskończonemi szeregami, i wyszedł na drogę. Droga była gruntowa, ale dość równa, a ziemia koloru czerwonego robiła dziwne wrażenie. Wszędzie widać było ciemne sylwetki pinjorów *). Ruch na drodze był niewielki. Raz minął Krzycha stary, „przedpotopowy” Ford, którego pasażerowie obejrzeli się zdziwieni; potem z przeciwka nadjechał lekki wózek, niezmiernie podobny do krakowskich „wasążków”, i znowu jadący obejrzeli się zdziwieni za Krzychem. Zaczęło go to wreszcie trochę złościć. To też gdy spotkał się

*) „Araukarja” — drzewo szpilkowe, podobne do limby.

znowu ze zdziwionem spojrzeniem jeźdźca, który trząsał się zlekka na drobiącym „skrocza” mule, postanowił spytać go, czemu tak się na niego wszyscy gapią. Zarazem zaś chciał spróbować swoich sił w języku portugalskim. Zaczął więc:

— Bą dija, sinjor!

— Bą dija, bą dija! — odezwał się jeździec i zatrzymał konia.

Krzych ułożył sobie dokładnie w głowie pytanie i spytał po portugalsku, czemu tak się mu przygląda i czemu się dziwi.

— Czemu się dziwię? — spytał jeździec. — Ależ temu, że sinjor podróżuje pieszo! U nas przecież nikt nie podróżuje pieszo! Ziemia nasza jest tak wielka, a odległości tak olbrzymie, że i na koniu podróżuje się nieraz tygodniami lub nawet miesiącami. Nawet najbiedniejszy chłop z lasu — „kaboklo”, który w ostatniej nędzy żyje — nie może obejść się bez konia i nigdy się go nie pozbywa. A sinjor — jak to zaraz widać — jest człowiekiem inteligentnym, więc jest to tem dziwniejsze...

Prawdę mówiąc, nie wszystko to Krzych zrozumiał, ale ogólny sens połapał i zamyślił się. Nie chodziło mu już o to, czy będą mu się przyglądać i dziwić, czy nie. Zamyślił się jednak nad tem, że istotnie, podróżując pieszo, nie tak prędko objędzie wszystkie kolonje... A on przecie nie tracił jeszcze nadziei, że wróci do Warszawy na początek roku szkolnego.

Rozważał jeszcze to wszystko, kiedy nagle Brazylijanin obejrzał się na trzodę bydła, zbliża-

jącą się ku nim, i krzyknął coś z przestraczem po portugalsku. Krzych uśmiechnął się mimowoli: Brazylijanin wyglądał niczem słynny bandyta Rinaldo Rinaldini, miał rewolwer za pasem, wielki nóż u boku i długi harap w rękę, a zląkł się stada krów!

Brazylijanin machał rękami, wskazując Krzychowi swoje siodło i krzycząc coś, czego Krzych — jak na złość — nie mógł zrozumieć.

— Pewno myśli, że boję się krów tak, jak i on! — pomyślał Krzych i, machnąwszy mu nie dbale ręką, ruszył na spotkanie stada.

Ale w tej chwili zobaczył coś, co mu odrazu odebrało ochotę do śmiechu: kilka sztuk idących na przedzie zaryczało krótko i, patrząc na niego, zaczęło wyrzucać przednimi nogami ziemię, konni pasterze zaś, dojrzawszy już co się dzieje, pędzili co koń wyskoczy, wywijając w pędzie lassem. Jeden zaś wyszarpywał gwałtownie rewolwer z futerału. Krzych zrozumiał, że to nie przelewki: „dzikie bydło!” — błysnęła mu myśl. Chciał się teraz wrócić do Brazylijanina, ale pomyślał, że on mu i tak nie pomoże, a zresztą groźne prowodyry stada były już między Krzychem a Brazylijaninem, który osłupiały stał na miejscu. Wobec tego Krzych rzucił plecak w rów i, chwyciwszy mocno ciupażkę, której stalowa rękojeść mogła stanowić ostatnią obronę, puścił się, jak zając, w powrotną drogę. Nie śmiał obejrzeć się, ale słyszał tuż za sobą coraz głośniejszy tętent i sapania zawziętego bydła. Mimo, że biegł dobrze,

a teraz jeszcze sama sytuacja zachęcała go do jak najlepszych wyczynów sportowych, zaczął wątpić, czy ujdzie cało: nogi zaczęły mu jakby mięknąć i odmawiać posłuszeństwa, a w oczach biegały jakieś niewyraźne desenie i gwiazdy. Raz nawet potknął się i wykonał nadzwyczajny skok głową naprzód, po którym omal że się nie rozłożył na drodze.

Wreszcie był tak zmęczony i zasapany, że postanowił rzucić się na ziemię, licząc, że rozpędzone będzie przebiegnie obok niego. Nie widział już prawie nic, co koło niego się dzieje. I nagle uczuł, że unosi się w powietrzu, że nogi jego odrywają się od ziemi, a potem siada na czemś miękkim i galopuje w bok od drogi.

— A teraz zrobimy tatarski manewr! — powiedział ktoś nad jego głową i Krzych uczuł, że zatacza półkole, ciągle w galopie.

Teraz oprzytomniał. Zrozumiał, że siedzi na koniu, trzymany w sposób trochę kompromitujący, bo za... kark przez pana Potockiego, który niewiadomo skąd się zjawił.

Bydło przeleciało tuż koło nich, a Krzych, odsapnąwszy, powiedział najspokojniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć:

— Przedewszystkiem muszę podziękować panu za uratowanie...

— Głupstwo! — machnął ręką pan Potocki, pokręcając węża. — Jeszcze człowiek ma trochę zimnej krwi i szybkiej orientacji!

W tej chwili nadjechali pasterze, do których

pan Potocki zwrócił się z długą i gorącą przemową w języku portugalskim, z której Krzych niewiele rozumiał, ale domyślił się, że robi im wymówki za złe pilnowanie stada. Wówczas podjechał do nich bliżej jeden z pasterzy i odezwał się, ku wielkiemu zdziwieniu Krzycha, po polsku:

— No, wybaczcie panie, ale to wasza wina: kto widział pieszo po drodze chodzić? Prawdę rzekłszy, trza było któremuś z nas na przedzie jechać, aleśmy się zagadali. A przecie wiadomo, że bydlę na konnego się nie rzuci, ale na pieszego się zrywa... Tak już nauczone, bo zawsze przez konnych jest pasione i pędzone, to respekt dla nich zna. A żebyście nas źle nie wspominali, to weźcie se na pamiątkę ten „fakon”, com go niedawno wygrał od „czarnego” o zakład na wyścigu końskim. Mam zresztą drugi.

— No, to bardzo dziękuję, ale doprawdy... może panu będzie potrzebny? Chyba, że pan przyjmie ode mnie tę laskę z Polski, z polskich gór? Ona mi i tak w Brazylii nie będzie potrzebna.

— O, pięknie dziękują. Ho - ho! Pamiątka z Polski! Nad łóżkiem sobie zawieszę! — mówił pasterz, pokazując towarzyszom otrzymaną ciupakę.

Krzych zaś przypasywał z dumą „fakon”, który mu się zwieszał dobrze za kolano, niczem szabla. Wyglądało to wspaniale. Boże! żeby go teraz widział jego zastęp Rysi!..

— Przyda ci się bardzo, senjor! — powiedział z powagą pan Potocki. — I do cięcia drogi w le-

sie, i do rąbania drzewa na ognisko czy „ran-
szo” — czyli szalas, mówiąc ludzkim językiem,
i wreszcie do obrony w razie niebezpieczeństwa.
Jeszcze musisz sinjor zdobyć jakiś „pikapau”
czyli pistolet, mówiąc po ludzku. Wtedy będziesz
dopiero prawdziwy „konkwistador” czyli zdo-
bywca.

Krzych wyprostował się dumnie i poklepał po
„fakonie”, ale dopiero pożegnawszy się z paste-
rzami (których w Brazylii nazywają „wakejro”,
lub z argentyńska „gaúszo), uspokoivszy się cał-
kiem i umocowawszy plecak przy siodle, zaczął
rozpytywać pana Potockiego, skąd się wziął tak
w porę.

— A, no... sinjor uciekł mi, napisawszy tyl-
ko górną epistołę, a ja planowałem sobie, że przy-
stąpimy do spółki, bo potrzebny mi jest koniecz-
nie uczciwy pomocnik. Więc dowiedziałem się,
w którym kierunku sinjor uciekł „per pedes apo-
stolorum” i dogoniłem akurat na czas. Bo gdyby
z sinjora stado zrobiło konserwy, nie miałbym
z kim oczywiście zawierać umowy.

— Spółkę ze mną? — zdziwił się Krzych, któ-
remu zresztą bardzo pochlebiała ta myśl. — Ale
przecież ja nie mam wcale pieniędzy!..

— Nikt tu nie chce pańskich pieniędzy! —
huknął pan Potocki z taką złością, jakby miał za-
miar zaraz chwycić się „fakona”. — Potrzebny mi
jest pomocnik, któryby mi pomagał prowadzić ra-
chunki, nie jestem bowiem w nich biegły, jak każ-
dy porządny szlachcic, a także któryby mi poma-

gał sprzedawać towar, zachwalając go i prezentując, któryby wreszcie pilnował towaru i bydła, gdy mnie niema, albo gdy sobie pałę zaleję, co się zdarza niesystematycznie, ale często. Zrozumiano?

— Owszem, rozumiem i postarałbym się... — płatał się trochę Krzych, bo wydało mu się nagle, że nietyle on jest potrzebny panu Potockiemu, ile pan Potocki chce jemu właśnie pomóc.

Utwierdziły go w tem dalsze słowa pana Potockiego:

— A ponieważ mnie jest wszystko jedno, którą podróżuję, byłem towar sprzedał, więc będziemy sobie tam jeździć, gdzie będą jakieś ślady pobytu ojca sinjora.

— Doprawdy, pan jest taki dobry... — bąkał Krzych i czuł, że jest czerwony, jak piwonja.

— Nie jestem wcale dobry! — huknął znowu pan Potocki, jakby mu zarzucono największe przestępstwo. — Robię doskonały interes i basta! Co? Może sinjor myśli, że ja, stary zabijaka i włóczęga, mam skłonność do mazgajenia się i rozczulania? Powiem otwarcie zresztą, że to szukanie ojca sinjora podoba mi się poprostu jako sport, jako przygoda. Zrozumiano?

— Zrozumiano! — odpowiedział Krzych, uśmiechając się, chociaż w oczach zrobiło mu się jakoś wilgotno. — Ale czemu pan mówi stale do mnie „sinjor”? Niech mi pan mówi poprostu „ty”...

— Wykluczone, sinjor! — mruknął pan Potocki, pociągając wąsa. — Wiele rzeczy jest

w Brazylii pięknych, ale jedną z najpiękniejszych jest to, że wogóle w języku tutejszym niema słowa „ty”. Do własnego dziecka, a nawet do konia czy psa mówi Brazylijanin „wosé”, co znaczy jakby „waszmość”. Ale najczęściej mówi się „sinjor” — pan. W Brazylii, jak w dawnej, szlacheckiej Polsce, każdy jest sobie panem i nikt mu nie ma nic do gadania.

Wobec takiego stanowczego wyjaśnienia, Krzych już nie protestował, tem bardziej, że ten „sinjor” naprawdę bardzo mu się podobał. Zwrócił rozmowę na inne tory:

— Jak lekko niesie ten muł! — odezwał się po chwili. — Ale jakoś tak dziwnie: niewiadomo, czy to kłus, czy stęp i czy unosić się w siodle, czy nie.

— Sinjor mówi o tym obrzydliwym sposobie kucania i wstawania w kłusie, które Anglicy narzucili całej Europie? Nie ujechałoby się daleko takim systemem! Wiedz zatem sinjor, że jazda taka, kiedy koń idzie skrocza, a jeździec siedzi mocno w siodle, także przypomina dawny system jazdy polskiej. I konie tutejsze są specjalnie uczone w tym kierunku. Wogóle zachowało się tu wiele pięknych i dawnych rzeczy, które w tej waszej niby postępowej Europie oddawna odrzucono. Popatrz tylko sinjor na te siodła! Toż to prawie niezmienione dawne siodła rycerskie z tą barjerką z przodu i z tyłu! A jakie rzędy bogate, ozdobne! A jakie piękne ostrogi!

Tu pan Potocki podniósł nogę w ogromnym, za kolana sięgającym bucie, ozdobionym olbrzymią

ostrogą z białego metalu. W stroju tym przypominał rzeczywiście jakiegoś rycerza, czy rajtara szwedzkiego, czy wreszcie kresowego zagończyka.

— Mułów używa się chyba tylko do noszenia juków? — spytał Krzych, przyglądając się swemu wierzchowcowi, który oprócz prymitywnego siodła miał pakunki z obu stron. Drugi muł, który szedł sobie luzem i albo zostawał ztyłu, albo doganiał towarzystwo, miał inne siodło, specjalnie do juków przystosowane.

— Powiem ci otwarcie, sinjor, że Brazyljanie cenią nawet więcej muła, niż konia. Muł jest wytrwalszy, lepsze ma zdrowie, mniej wymaga pokarmu i zabiegów, a przytem jest spokojniejszy i rozważniejszy. Nie bywa prawie wypadku, aby muł się spłoszył, co koniowi zdarza się często. Ale co do mnie, to zawsze wolę konia: to jest jedyny wierzchowiec dla szlachcica — niech sobie gadają, co chcą!

Tak rozmawiając, nowi „spólnicy” posuwali się naprzód sporym krokiem i Krzych dopiero teraz widział, ileby go to kosztowało wysiłku, gdyby chciał iść piechotą. Po kilku godzinach marszu pan Potocki naraz się odezwał:

— No, trzeba się obejrzeć za noclegiem, bo noc blisko!

— Jakto noc? Przecież jeszcze całkiem widno! — zdziwił się Krzych.

— Ściemni się w parę minut — mruknął pan Potocki. — Nie zapominaj sinjor, że to nie Euro-

pa, lecz kraj tropikalny. Ale już widzę zabudowania i — jeśli się nie mylę — będzie to „fazenda” Kurowskich.

Podjechawszy do bramy, pan Potocki zatrzymał konia i zaklaskał w dłonie.

— Co pan robi? Bije pan brawo? — zdziwił się Krzych i nawet zachciało mu się śmiać.

— W Brazylii każdy jest panem na swoim podwórku i nie wolno nań wchodzić, dopóki się nie wywoła gospodarza klaskaniem i wołaniem, a on nie pozwoli wejść. Inaczej może poprostu bezkarnie wygarnąć z „pikapau” i będzie w porządku.

— No, no! — musiał zdziwić się Krzych. — Dobrze, że nie podróżuję sam i nie spróbowałem wejść na czyjeś podwórko, bez tego... bicia brawa. Dziwne, że w żadnej książce nie czytałem o tym zwyczajach!...

Tymczasem pan Potocki znowu zaklaskał i zawołał:

— „O, de kaza”! — a Krzychowi objaśnił — czyli: „hej, tam z domu”!

— „A pe”! — odezwał się głos i starszy człowiek wyszedł na próg.

— To znaczy, że możemy zejść z koni! — objaśnił pan Potocki. — „A pe” to znaczy dosłownie: „na nogi”!

— Ho - ho - ho! — zawołał gospodarz. — Czy to nie będzie czasem pan Potocki?

— A Potocki, Potocki, sinjor „fazendejro”! — gadał pan Potocki, zsiadając z konia. — A niech-

no sinjor dorzuci „fizonu” i ryżu do kociołka, bo was ogłodzimy do szczętu!

— Wystarczy, wystarczy! — śmiał się gospodarz. — A z kimże to pan jeździ? Syna pan ma, czy co?

— Zaraz opowiem! — mruzczał Potocki, zdejmując siodła i juki z wierzchowców, w czym mu pomagał, jak umiał, i Krzych, który już wchodził potroszę w rolę „spólnika”.

Zanim jednak doszło do opowiadania, wniesiono wielką misę czarnej fasoli, zwanej „fizonem”, i ryżu. Do stołu zasiadło sporo osób, bo — oprócz starego Kurowskiego — jego czterech synów i dwu zięciów. Wszyscy jedli setnie i kobiety musiały kilka razy napełniać miskę, zanim mężczyźni sobie odsapnęli i odłożyli łyżki.

— No, a teraz napijemy się „szimaronu” i pogadamy! — rzekł stary Kurowski.

— Sinjor pewnie nie wie, co to „szimaron”? — zwrócił się do Krzycha pan Potocki. — To esencja z zielonej herbaty tutejszej, tak zwanej „herwa mate”. Ciągnie się ją przez rurkę z tykwy z dziurkami, którą nazywamy „kują”. Zresztą zaraz sinjor spróbuje.

— Coś zdaje się czytałem o tem! — mruknął Krzych, bo nie lubił, gdy się okazywało, że o czymś całkiem nie słyszał.

Stary Kurowski nasypał zielonego miału do tykwy, zalał gorącą wodą i, włożywszy rurkę metalową, pociągnął parę razy, poczem podał Krzychowi. Nie była to herbata zbyt smaczna i zapach

miała jakiś dziwny, ale wyglądało to wszystko na palenie „fajki pokoju” lub inny jakiś obrządek, tak, że Krzych nie śmiał się wymówić.

Kiedy kuja obeszła wszystkich i wróciła do gospodarza, ten zagał rozmowę:

— To wy, panie, będziecie nietutejsi?

Krzych opowiedział swoją historję i na zakończenie jej spytał:

— A może panowie tutaj słyszeli coś o moim ojcu? Nazwisko — żarski.

— żarski, żarski... — mruzczał stary. — Jakoś sobie nie przypominam. Ale wiecie, w ostatnich czasach pojechało trochę naszych aż za Apukaranę, bo tam ziemie tanie... Wartoby się tam popytać.

— Tam właśnie jedziemy! — kiwnął głową pan Potocki.

— A jakże tam teraz jest w Polsce? — spytał Kurowski. — Prawda to, że mamy swoje okręty?

— No, naturalnie! — zawołał Krzych. — Przecież do Rijo de Żanejro przyjechałem właśnie polskim okrętem „Kościuszko”.

— Słyszycie, chłopaki? — zawołał Kurowski. — Okręt polski! „Kościuszko”! Pod polską banderą ci se pływa!

Stary obtarł sobie łzy, a „chłopaki” (wszyscy z dobrze sumiastemi wąsami!) przysunęli się bliżej. Zaczęły padać pytania:

— No, a jakże z wojskiem? Duże jest? Silne? A samoloty są? A Prezydent w jakim ubraniu

chodzi? A Marszałek Piłsudski sam na przeglądy wojska wychodzi?

Krzych odpowiadał, jak mógł, ale wielu rzeczy nie umiał dobrze objaśnić i kręcił się jak na węglach. Przypomniawszy sobie na szczęście, że ma przy sobie kalendarzyk harcerski, w którym są różne dane statystyczne. Zaczął więc zaglądać do niego i przedstawiać rozwój Polski w przemyśle, handlu, rolnictwie, oświacie i innych dziedzinach, a Kurowscy kręcili głowami i przysuwali się coraz bliżej.

— Hej, nie te to już czasy, kiedy nam byle Brazyluch mógł w nos powiedzieć: „Polakko seń bandejra!” „Polak bez sztandaru”... Mamy swoje państwo i zaraz inaczej na nas tu patrzą.

— O, wiem, w początkach było tu bardzo ciężko! — pochwalił się Krzych. — Naprzykład w książce „Pan Balcer w Brazylii” opisane są te wszystkie nieszczęścia: napady Indjan, choroby, powodzie...

— No, pewnie, pewnie! — kiwał stary Kurowski głową. — Było i źle, ale tak mi się widzi, że panowie to nieraz niepotrzebnie nad chłopem płaczą i czulą się, jak nad niedorośliwym. Trudno się było z początku włożyć, bo człowiek ani kraju nie znał, ani języka, ani tej ziemi, co inne produkty rodzi. Ale chłop polski — to, wiecie paniczku, twardy jest. Taki „kabokło” z lasu, co tu się urodził, a przecie z głodu zdycha, a my radę sobie dajemy i do majątku dochodzimy. A wtedy jak ta wielka emigracja była, to nawet dobre nam wa-

runki dawali: przejazd darmo, ziemia darmo, nasiona darmo i żywność do pierwszych zbiorów darmo. Żeby teraz takie warunki dali, to myślę, że pół Europy tuby zwaliło, no nie? Ja to nie lubię, jak kto nade mną płacze. Wolę już, żeby się dziwił i chwalił, no nie?

— To prawda! — powiedział Krzych. — Ale bo i jest też za co chwalić. Czytałem w jednej nowelce, że Polacy nauczyli Brazyljan chleb jeść i wozy robić.

— Bo i prawda! — potwierdził Kurowski. — Oni tu przedtem to ino „mandjokę” i słodkie „bataty” niby ziemniaki jedli. A i do tej pory żyto to jeno Polacy sieją. Nietęgo się udaje, ale zawsze na chleb jest. A co do wozów, to oni tu przedtem albo wszystko na jukach przewozili, albo mieli takie dwukołowki — „arby” — z kołami bez szprych, tylko z całkowitych desek i na drewnianych osiach. Skrzypiało to — pożał się Boże!

— Dawne czasy pan pamięta — odezwał się pan Potocki. — Nawet ja tyle o Brazyliji nie wiem.

— Toć ja tu jeden z pierwszych przyjechałem! — odezwał się z dumą Kurowski. — Jeszcze przed tą „gorączką” emigracyjną, jak to nazywali. Zaraz sobie obliczę: podobno w roku pańskim 1873-im kilkadziesiąt rodzin polskich przyjechało z Prus. To byli co najpierwsi. Potem w 1875-ym przyjechali my w kilkaset rodzin z Galicji, a także ze Śląska i Prus. Dopiero po nas przyjechało znowu trochę naszych w roku 1882-im i aż do 1885-go tak to tam kapalo potrochu. W roku

1889 i 92-im była ta „gorączka”. To przyjechało z Królestwa musi ze 40 tysięcy rodzin. Potem znowu w 1895 i 96-m nowa fala przyszła z Galicji. Potem dopiero aż po rewolucji 1905 i 6-go roku napłynęło trochę. No, a później to już prawie tylko pojedynczo albo w małych gromadkach ściągali nasi do dzisiejszego dnia. Rozsiadło się to wszystko, gdzie komu było poręczniej, a teraz to już jest emigracja z emigracji.

— Jako? — spytał Krzych. — O takiej rzeczy nigdzie nie czytałem.

— A no, bo nasi synowie i wnukowie, co się tu porodzili, wychodzą ze starych kolonij i szukają nowych ziem. A czasem nawet i starzy się ruszą, jako ja na ten przykład.

— No, pana to się żadna rdza nie chwyta, panie Kurowski — mruknął pan Potocki.

— A to nie wiecie, panie Potocki, że jak żelazo jest w robocie, to nie rdzewieje! — śmiał się Kurowski.

— No, ale czasby się już i zdrzemnąć, bo ten nasz młody podróżnik dobrze się wytrzymał dziś na koniu. Jak na pierwszy raz to nawet i za dużo. A jeszcze i było go napadło! — powiedział pan Potocki, ale na szczęście nie opisywał szczegółowo sportowych wyczynów Krzycha, któremu oczy się już dobrze do snu kleiły, a uda miał jakby rozbite od jazdy tak, że ledwo doszedł do łóżka. Jeszcze rano czuł obolałość w krzyżu i w nogach.

Na drugi dzień pan Potocki rozłożył swoje towary i rozpoczął się handel. Okazało się, że w nie-

pozornych jukach pana Potockiego były same wspaniałości: różowe mydełka, lusterka różnej wielkości, grzebienie, krawaty, spinki, a nawet perfumy.

— Na co to człowiekowi przyszło! — wzdychał pan Potocki. — Na handlarza wyszedłem... Ale to niedługo już: jak tylko zarobię parę groszy, pójdę do kopalni drogich kamieni do stanu Minas žerajs, albo Gojaz.

— Wiem, wiem! Oczywiście! — zawołał Krzych. — To na północ od stanu San Paulo.

— Tak, tak. Jak się wjeżdża do Brazylii, to zaraz na prawo! Parę kilometrów stąd... — mrugnął w jego stronę pan Potocki.

Krzych trochę się nadał, ale nic nie powiedział, tylko wziął się do rozkładania towarów. Garnęły się do nich głównie kobiety, i obaj „spólnicy” pozbyli się znacznej partji towaru.

Pożegnawszy się następnie z Kurowskimi, ruszyli w dalszą podróż i w południe przybyli do miejscowości, gdzie znajdowało się zaledwie parę domków, ale zato wśród nich była wielka „wenda”, czyli sklep z wszelkimi towarami, potrzebniemi w „interiorze”. Podjechali do niej i przywiązawszy wierzchowce do specjalnej barjerki, weszli do środka.

— Dzieńdobry! Poproszę piwa! — rzucił pan Potocki.

Ale „wendysta” nie ruszył się z miejsca:

— A, to pan Potocki znowu jedzie nam konkurencję po kolonjach robić? — odezwał się kwaśno.

— Cóż to za konkurencja, kiedy wiozę towary luksusowe, których pan i tak nie ma! — niedbale rzucił pan Potocki. — A jak pan będzie wydziwiać, to osiądę tutaj i sam założę wendę.

— Wie pan co? — ożywił się gospodarz. — Niech pan osiedli się o dziesięć kilometrów stąd, gdzie ten szelma Jakubski założył swoją budę i przeszkadza mi w handlu. Jak on się stamtąd wyniesie, to ja odkupię pańską wendę za dobrą cenę.

— Owszem, owszem, pomyślimy o tem! — rzucił niedbale pan Potocki. — Tylko teraz, widzi pan, mam spółnika, z którego zdaniem muszę się liczyć. Oto on!

Wendysta nie wiedział, czy to kpiny, czy prawda, więc umilkł i przyniósł piwa dla pana Potockiego, a lemonjady dla Krzycha. Krzychowi przeszkadzało trochę to, że kontuar był wysoki i musiał wspinać się na palce, aby dojrzeć wendystę, ale mimo to, przemówił z powagą:

— Przypuszczam, że pan widuje wielu ludzi? Czy nie słyszał pan czego o Michale żarskim w tych okolicach?

— O żarskim? — powtórzył wendysta. — Owszem, zdaje mi się, że słyszałem... Podobno wędrował przez Apukaranę, wzdłuż rzeki Ivahy, w tę stronę, co ten sławny podróżnik Chrostowski. O, bo pana Chrostowskiego doskonale pamiętam! Był tu u mnie z panem Jaczewskim, z którym zbadali pierwsi całą rzekę Ivahy. Umarł potem biedaczysko pan Chrostowski, niedaleko Foz do Iguassú,

już wracając do Kurytyby. A siedział sobie tam pod oknem, przy tym samym stole, który tam stoi, i popijał... zaraz, zaraz... co to on popijał? Mleko, czy lemonjadę? Zdaje się, że...

— Bardzo to jest ciekawe, proszę pana! — przerwał mu Krzych z niecierpliwością. — Ale cóż pan słyszał o moim ojcu?

— Aha, to był pański ojciec? No, więc — jak mówię — szukał podobno ziemi za Apukaraną, gdzie ją można kupić za grosze. A przytem jest to niedaleko od ruin starego miasta, założonego przez jezuitów, w którem podobno mają być jeszcze skarby. Nazywa się to miasto „Willa Rika” — „Bogate Miasto”, i od czasu zniszczenia go przez mieszkańców stanu San Paulo, którym te miasta jezuickie były solą w oku, bo próbowały żyć w zgodzie z Indjanami... Zaraz, com to chciał rzec? Aha, więc teraz „Willa Rika” jest całkiem zarośnięta przez puszcę i ludzie powiadają, że są tam skarby i że djabły ich strzegą. Ot, głupie gadanie! Żeby tam naprawdę były skarby, to już by znaleźli się amatorzy, którzyby i djabłów się nie zlekli... Kto wie, może i pański ojciec spróbował tam się dostać?

— Et, plecie pan! — burknął pan Potocki. — Prędzej założył fazendę gdzieś daleko od starych kolonij i basta!..

— W każdym razie mam ślad! Prawda, panie Potocki? — gorączkował się Krzych. — Bardzo panu dziękuję! Jedźmy już, proszę pana! Jedźmy!...

— „Pasjensja”! — „Cierpliwości”! jak tu mówią stale — powiedział pan Potocki. — Skoro mamy ślad, to znajdziemy pańskiego ojca, a do wieczora i tak nie dojedziemy jeszcze do Apukarany.

I rzeczywiście: nietylko nie dojechali do Apukarany, ale nawet nie dotarli do żadnych ludzkich siedzib, gdy nadszedł wieczór. Pan Potocki oglądał się usilnie wkoło i wreszcie zjechał z drogi ku małej rzeczulce.

— Aha, już wiem! — powiedział Krzych. — Będziemy robić obozowisko!

— Obozowisko, obozowisko! — mrucał z niechęcią pan Potocki. — Wcale to nie jest takie romantyczne, jak się niektórym młodzieńcom, przybyłym z Europy, wydaje. Dobrze, że to zima, to przynajmniej różne „bisze” śpią.

— „Bisze” to naturalnie są jakieś zwierzęta?

— „Biszo” to znaczy wszystko: i żmije, i owady i nawet bydło. Ale nie czas na filozofję! Czy sijnor potrafi zebrać trochę drzewa na opał?

— No, naturalnie! — prychnął Krzych. — Wybiera się poprostu suche drzewo...

Ale nie było to wcale takie łatwe. Przedewszystkiem ściemniało się bardzo szybko, następnie o parę kroków od obozowiska były jakieś zarośla, w których odrazu traciło się orientację i w których był taki gąszcz, że człowiek więznął po kolana i nie wiedział, za co naprzód chwytać. Suchych gałęzi, które w Polsce leżą sobie grzecznie na ziemi, czekając aż się je zbierze na opał, nie było tu wcale: wszystko było wilgotne i przegniłe,

a gdy Krzych spróbował ciąć swoim nowym „fakonem”, przekonał się, że niektóre drzewa są tak twarde, że fakon prawie ich się nie ima. Wreszcie, zmęczony i zasapany, przyniósł niewielką wiązkę drzewa, nad którą pan Potocki pokiwał tylko głową:

— Na tej wiązce, to można uwędzić najwyżej komara! — mruknął.

— Przecież to nie jest znów tak mało! — broił się Krzych. — Możliwy napewno usmażyć nawet jajecznicę.

— Wykluczone! Już choćby dlatego, że... nie ma jajek! — powiedział poważnie pan Potocki i sam poszedł po opał, choć Krzych nie rezygnował także i przynosił coraz jakąś gałązkę. Nie mógł przecie narazić na szwank honoru drużyny! Wreszcie pan Potocki obłożył mały stos z suchych kawałków trzciny „takuara” grubszymi gałęzmi i przysunął do niego kilka grubych polan promienisto do ogniska i wyjaśnił:

— To na noc. Przysuwa się nogami takie polano prawie przez sen i całą noc jest ciepło. No, a teraz zrobię „żantar”, czyli kolację — mówiąc po ludzku.

— Może jabym co pomógł?—spytał Krzych.— Umiem doskonale robić parę potraw... Naprzykład kakao...

— A ciastek nie umie sinjor robić? No, to na nic: ja pijam kakao tylko raz na rok, około Wielkiej Nocy, ale zato zawsze z ciastkami. Wobec tego zjemy sobie poprostu „farofę” i zapijemy „her-

wą"... Sinjor tak wszystko wie, że pewno słyszał i o „farofie”?

— No, właściwie... owszem... — zmieszał się Krzych.

— Krótko mówiąc, jest to „szarka” z „mandjoką”. A „szarka” znowu to suszone na słońcu mięso. Teraz ja nastawię wodę, a sinjor niech sobie odpocznie, bo pewno dobrze czuje jeszcze siodło w udach?

— O, wcale nie! — mruknął Krzych, ale prawdę rzekłszy, wydawało mu się, że ciągle jeszcze siedzi na mule. Nie był już tak obity, jak wczoraj, ale jeszcze dostatecznie, żeby chętniej obierać pozycję leżącą, niż wszelkie inne.

Wyciągnął się więc z ulgą na rozesłanych skórach owczych, zdjętych z siodła, tak zwanych „pelegach”, i wydobył swój ulubiony notes, w którym zapisał datę, a poniżej zanotował: — Obóz w puszczy. Drugi dzień podróży. Jemy „farofę” z „szarką”. Ognisko ułożone w gwiazdę. (Zaprowadzić to w drużynie!) „Fakonem” doskonale się rąbie, ale drzewa trochę za twarde. Nareszcie czuję się naprawdę w dzikim kraju. No, gdyby mnie w tej chwili widzieli moi druhowie z zastępu Rysi!.. Do „Muški” napiszę jutro, bo choć nie jestem wcale zmęczony, ale zawsze...”

Już w czasie przełykania suchej „szarki” i jeszcze suchszej „mandjoki”, co stanowi osobny kunszt, Krzychowi zamykały się oczy, a natychmiast po wypiciu „herwy” zniknęło mu z oczu ognisko i las i wąsata twarz pana Potockiego, który

nachylał się nad nim i czemś go okrywał. Zobaczył natomiast swój pokój, stolik z książkami, „Muškę”, siedzącą w fotelu, i „Tuśka”, który majstrował coś przy odbiorniku radjowym. I nagle pokój zmienił się w klasę, a pan Leśkiewicz, stojąc na katedrze, miał wykład o sposobach rozpalenia ogniska, ułożonego w gwiazdę. W trakcie tego do klasy wszedł „czarny charakter”, który pożyczał „Muśce” pieniędzy, i, szarpiąc Krzycha za ramię, domagał się oddania pieniędzy, wołając po portugalsku!

— Diniejro! Diniejro!

Ten przykry sen obudził Krzycha, ale szarpnięcie i wołanie nie ustawało. Próbował obrócić się na prawy bok, aby pozbyć się tego snu, ale ktoś szarpnął go silniej i zawołał:

— Onde teñ diniejro?

Krzych zrozumiał wreszcie, że to nie sen i że ktoś pyta go, gdzie ma pieniądze. Siadł nagle i zamiast wąsatej twarzy pana Potockiego, zobaczył ciemną twarz z błyszczącymi białkami i zębami. Serce skoczyło mu nagle do gardła i tam biło prędko, ale przełknął ślinę i spokojnie spytał:

— Sinjor jest pewnie „kaboklem” z sąsiedztwa?

— Co? Ja „kaboklem”? — wrzasnął ciemny człowiek. — Ach, ty bezczelny pędraku! Ja ci pokażę „kabokla”!...

Ciemny człowiek przystawił Krzychowi pistolet do głowy i wrzasnął:

— Proś o łaskę!

W tym momencie Krzych usłyszał spokojny głos pana Potockiego:

— Nie wiedziałem, że tacy dzielni sinjores, tacy „walentonowie”, którzy drwią sobie z milicji i kolonistów, są tak rycerscy wobec dzieci!..

— Rzeczywiście, daj spokój żozé! — odezwał się jakiś inny głos. — Obszukaj go i zabierz mu, jeżeli co ma, bo my, „walentonowie” z partji sławnego „coronela” *) Farinja dos Santos postępujemy zawsze po rycersku. Czasem tylko możemy zastrzelić jakiego starego impertynenta, który nam chce dawać nauki...

Krzychowi zrobiło się zimno: zrozumiał, że to są bandyci i że wyraźnie grożą panu Potockiemu. Myśli przebiegały mu błyskawicznie przez głowę, a jedna z drugą sprzeczna. Pomyślał więc, że spotkała go oto wreszcie „prawdziwa” przygoda, ale że zbliska wygląda ona wcale nie poetycznie i nie ciekawie. Myślał, że jemu pewnie darują życie, ale że to będzie okropne, jeżeli naprawdę zastrzelą pana Potockiego. Przyszło mu też na myśl, że pan Potocki przez niego naraził się na to niebezpieczeństwo i że trzeba koniecznie coś wymyśleć, żeby go ratować. Ale zanim przyszedł mu jakiś pomysł do głowy, już pan Potocki odezwał się ponuro:

— A czy sinjorowie wiedzą, co czeka tych, którzy zabiją „kurandejra”, znachora? Wszyscy zginą od trądu!...

*) Pułkownika.

— To pan jest „kurandejro”? — spytał bardzo grzecznym głosem ten, który poprzednio groził, a który wyglądał na dowódcę.

— O tem się przekonacie! — odpowiedział krótko pan Potocki i odwrócił od nich głowę.

Wśród bandytów zapanowało kłopotliwe milczenie, wreszcie jeden z nich powiedział niepewnie:

— Przecież nic się nie stało... Poprostu żartowaliśmy sobie z tem zastrzeleniem...

Ale ów żozé, który poprzednio budził Krzycha, roześmiał się głośno:

— Et, wierzycie w takie babskie rzeczy, jak czary znachora! Ja proponuję poprostu wziąć ich ze sobą, jako zakładników: jeżeli przekonamy się, że ten stary ma naprawdę siłę czarodziejską, to go puścimy. Ot, naprzykład Pinnejro choruje już od tygodnia — niech na nim spróbuje swoich czarów.

— Owszem, mogę spróbować! — niedbale powiedział pan Potocki — choć wiadomo, że czary muszą się odbywać bez przymusu. W każdym razie puście tego młodego „kawalejro”, który jedzie do Apukarany szukać ojca.

— Tak? — zaśmiał się żozé. — Jedzie szukać ojca, a z pewnością znajdzie mllicję, która nas szuka właśnie koło Apukarany, i powie, gdzie nas widział. Nie, musicie obaj jechać razem z nami, prawda Luiz?

Luiz, dowódca, był to młody człowiek o cerze jaśniejszej od swoich kompanów, cały obwieszony wspaniałą bronią i starannie ubrany.

— Niech tak będzie! — machnął pogardliwie. — A te jego towary możecie zabrać. Jeżeli jest naprawdę „kurandejrem”, to je sobie wyczaruje zpowrotem...

Wszyscy zaśmiali się i rzucili do juk, rozdzielając między siebie z dziecinną radością mydełka i lusterka pana Potockiego, który pod nosem kłął po polsku.

— A cóż to jest w tym worku? — zawołał nagle Żozé, sięgając do krzychowego plecaka i wyciągając stamtąd aparat fotograficzny.

— To moje! Oddajcie! — zawołał Krzych, który ocknął się ze swego osłupienia, na widok rabunku jego największego skarbu.

— Twoje? No, to będzie moje! — skrzywił się ironicznie Luiz i wrzucił niedbale aparat do swoich juków. — A obszukajcie ich samych!

Mimo protestów pana Potockiego, napastnicy zabrali mu wszystkie pieniądze i broń, a Krzychowi odebrali jego nowy „fakon” i wyciągnęli z kieszeni jego ulubiony notes wraz z piórem wiecznym i znaczkami na korespondencję. Krzych uczuł, że w gardle coś go ściska coraz bardziej i nie mógł wymówić ani słowa, bojąc się, że się zaraz rozplacze. Ładna przygoda, niema co mówić! Ci pięknie uzbrojeni „walentonowie” — jak sami siebie nazywali — byli więc zupełnie tacy sami, jak zwyczajni europejscy bandyci!

Krzych obserwował tylko, gdzie się podziewają jego rzeczy i zanotował sobie w pamięci, że i pióro wieczne i notes z portretami wielkich ludzi

znalazł się razem z aparatem u Luiza. Wreszcie napastnicy związali obydwum swym jeńcom ręce z tyłu i, podsadziwszy ich na dwa najgorsze muły, otoczyli ich dokoła.

Była ich spora gromadka, bo około dwudziestu, a wszyscy uzbrojeni od stóp do głów. Krzych jechał zupełnie zgnębiony i nawet spać mu się odechciało, choć była to przecież dopiero połowa nocy. Pomyśleć tylko: nie dosyć, że obrabowali go do szczętu i uwięzili jego opiekuna, ale jeszcze wyraźnie oddalali go od owej Apukarany, w pobliżu której był jego ojciec. Wszystko na nic! I całe jego postanowienie i wykombinowanie przejazdu i znalezienie śladu ojca — wszystko zburzone przez złość i chciwość tych złodziei. Jakże to inaczej wygląda, kiedy czyta się różne tragiczne zdarzenia i przygody, niż kiedy się samemu przeżywa je tak... namacalnie!

— A cóż Czarniecki i Stanley? — szepnął w nim jakiś głos przekorny i ironiczny. — Miałeś przecież „dokonać” czegoś, „wslawić się”?

Krzych szarpnął się niecierpliwie i mruknął w odpowiedzi na ten głos:

— Nic przecież teraz nie mogę zrobić! Trzeba się poddać losowi! Może mi darują życie i puszcza mnie...

Ale w tej chwili Krzychowi stanęła w oczach, jak żywa, jego „Muśka”, która czeka niespokojnie w małym domku, na przedmieściu dalekiej, kochanej Warszawy. I stanął mu przed oczami jego ukochany „Tusiek”, który tak poważnie zawsze z nim

rozmawiał i tak wesoło się bawił. Może teraz potrzebuje jego pomocy, a on tak zupełnie opuścił ręce?

Krzych otrząsnął się naraz ze swego przygnębienia i wyprostował: Nie, nie da się! Coś musi wymyśleć. Ale tymczasem trzeba spróbować zasnąć, bodaj siedząc na koniu, bo nie będzie miał dosyć sił, aby wykonać jakikolwiek plan.

Po tej naradzie z samym sobą, Krzych trochę uspokojony zasnął i obudził się, kiedy już było całkiem widno. Bandyci zjeżdżali teraz z wielkiej drogi i zaszywali się w gęsty las, jakąś sobie tylko wiadomą ścieżką. Jechali tak jeszcze około godziny, póki nie dojechali do starej, przekrzywionej szopy, gdzie rzucili się na prymitywne pośłania, stawiając tylko jednego na straży. Krzych, chociaż trochę się zdrzemnął w drodze, zasnął raz jeszcze, a po przebudzeniu poczuł nagły przypływ nadziei i energii. Rozejrzał się — wszyscy spali jeszcze na dobre, a nawet wartownik od czasu do czasu zwieszał głowę i pochrapywał. Spał też pan Potocki. Była to najlepsza pora, żeby wymyślić jakiś „fortel”, ale nietylko nic nie przychodziło Krzychowi do głowy, lecz w dodatku ręce tak bolały go od surowcowego rzemienia, którym były związane, że czuł mrówki aż do samych ramion. Spojrzał na swoje dłonie: były obrzmiałe i czerwone, a rzemień zdawał się w nie wpijać coraz bardziej.

— Takimi rękami nic nie będę mógł zrobić,

choćbym nawet mógł je rozwiązać! — pomyślał z rozpaczą Krzych.

Zaciskając zęby, aby nie płakać z bólu, który coraz więcej dawał mu się we znaki, Krzych rozglądał się wokoło, szukając czegoś, coby mu nasunęło jakąś myśl ratunku. I wreszcie się to stało. Wśród różnych przedmiotów, leżących w kącie szopy, a pochodzących, widać, z dawniejszych rabunków, dostrzegł niewielki sztylet bez pochwy z pękniętą rękojeścią. Leżał na podłodze, prawie wśród śmieci i widać nie znalazł łaski w oczach bandytów.

— Nie zauważą jego braku! — pomyślał Krzych i skradając się krok za krokiem, podpełzł wreszcie do zbawczego sztyletu. Ale gdzie go schować? Jego mogą w każdej chwili zrewidować! W tej chwili dostrzegł siodło, na którym jechał, złożone razem z innemi pod ścianą. Doskonały pomysł! Wsunął zręcznie sztylet za odstaającą blachę barjerki siodła i szybko położył się zpowrotem. Aby go tylko posadzili na tem samym siodle... Trzeba też pomyśleć o przełożeniu rąk z tyłu do przodu, gdy tylko się ściemni... To nie będzie zbyt trudne: przełoży się naprzód jedną, potem drugą nogę i ręce będą z przodu. Tylko odwagi!..

Za jakiś czas pobudzili się bandyci i nie wstając z barłogów, ani się nie myjąc, wyjęli woreczki z „farofą” i, siągając do nich ręką, zaczęli głośno mlaskać ustami. Po chwili Luiz ziewnął:

— Dajcie-no i tym tam...

Żozé uśmiechnął się złośliwie i wysypał im sporą porcję „farofy” wprost na pelerynę, zwaną „ponszo”, która leżała obok nich.

— Jakże będziemy jeść? — mruknął pan Potocki. — Rozwiążcie nam na chwilę ręce.

— Możecie jeść wprost gębą! — mruknął Żozé. — Taki „kurandejro” potrafi przecie wszystko...

Krzych poczuł w tej chwili taki przypływ głodu, że prawie gotów był już nachylić się i wziąć ustami porcję „farofy” z posłania. Ale jednocześnie wyobraził sobie, jak będzie przytem wyglądać: niczem zwierzę, któremu rzucono żarcie. Wyprostował się więc i odwrócił, żeby go nie skusiło. Tak, z tego ruchu był zadowolony: to było godne Czarnieckiego i Stanleya! Tem bardziej był zadowolony, że w tej chwili pan Potocki odezwał się po polsku:

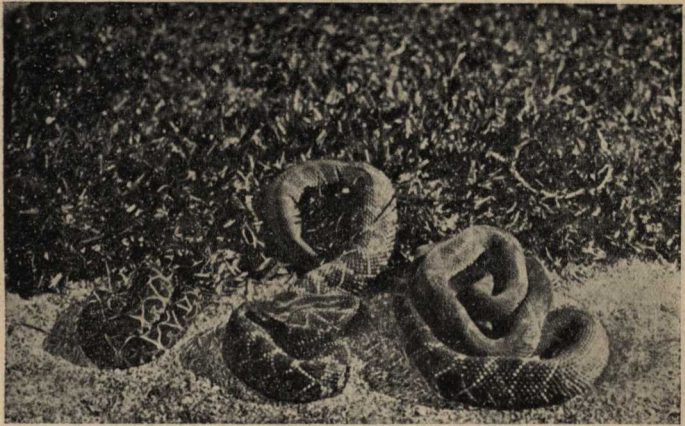
— Dobrze, młodzieńcze! Niech te czarne djabły wiedzą, co to jest szlachcic polski!

— Co ty tam mruyczysz? — rozzłościł się Żozé. — Lecz lepiej chorego, jakeś obiecał! Pinjejro, pokaż-no się temu cudotwórcy!

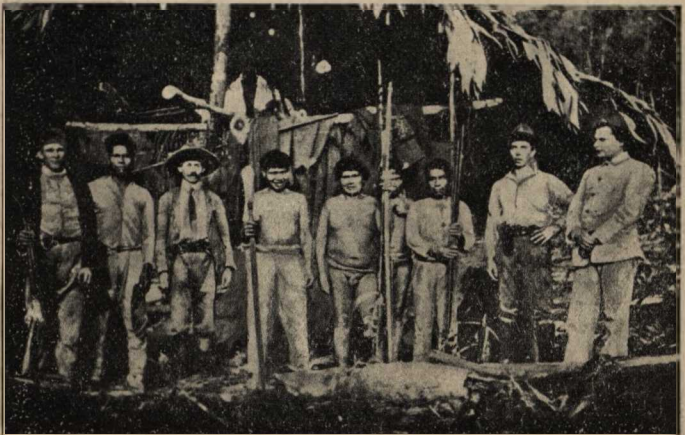
Z oddalonego kąta wstał leniwie rosły mulat i ciężko stąpając, przywłókł się do jeńców.

— Aha! — mruknął po polsku pan Potocki. — Szelma objadała się od dłuższego czasu tylko mięsem i ma szkorbut...

Zaczął coś mruzczyć po brazylijsku, co wyglądało pół na modlitwę, a pół na „zamawianie”, czy inne „czary”. Musiał widocznie dobrze przyjrzeć



Żmije jadowite zwane „jararaca“



Indjanie Botokudzi ze stanu Santa Catharina. Na prawo ich kacyk — człowiek biały



Pola kukurydżane — na miejscu wyciętego lasu pinjorów
fot. Groff. Kurytyba



Rzeka brazylijska (Rio Claro) fot. X. Chylaszek

się jakiemuś znachorowi, bo wśród bandytów rozległ się szmer:

— On to naprawdę dobrze robi!.. Zupełnie, jak stary Viberą, który był słynnym znachorem...

A pan Potocki, kiwając się i mrużąc, obchodził wokoło osłupiałego mulata, a wreszcie powiedział mu uroczyście:

— Sinjor będzie zdrowy za tydzień. Przez ten czas nie może jednak jeść niczego, co biega, tylko wszystko, co rośnie i to na świeżo.

— Mujto obrigado! — Bardzo dziękuję! — wymamrotał mulat, nie zdejmując oczu z twarzy rzekomego „znachora”.

W tym momencie do kryjówki bandytów nadjechał galopem jakiś „kaboklo” i krzyknął:

— Uciekajcie! Od Apukarany idzie na was obława!

Bandyci zaczęli nagwałt siodłać konie, popędzając się wzajemnie. Również jeńcom kazali wsiąść na konie i za chwilę spory oddziałek zaczął pogrążyć się w gęstwą lasu ledwo widoczną „pikładą”, t. j. ścieżką. Jadący na przedzie trzymał w pogotowiu wielki fakon i ciął nim zręcznie na prawo i lewo, rozszerzając drogę w gąszczu. Od czasu do czasu zmieniano się na tem męczącym stanowisku i oddziałek posuwał się dalej bez przerwy.

Krzych widział z przerażeniem, że coraz bardziej oddalają się od miejsc, w których spodziewał się znaleźć ojca. Rozumiał też, że jego przygotowania do ucieczki spełzły chwilowo na ni-

czem, ponieważ bandyci mają się na baczności, a zresztą: w tak szybkiej podróży trudno znaleźć odpowiednią chwilę do wykonania swego „fortelu”.

Po kilku godzinach marszu, bandyci tylko na chwilę dali odpocząć swoim koniom, poczem znowu ruszyli w drogę. To też kiedy nad wieczorem urządzili wreszcie popas, Krzych był tak zmęczony, że upadł tam, gdzie stał, i natychmiast zasnął. Taki uciążliwy marsz trwał kilka dni i Krzychowi zaczęło się wszystko w głowie plątać: nie wiedział, który to już dzień jest w podróży, kiedy jest noc, a kiedy dzień. Co zaś do jedzenia, to ktoś wtykał mu w usta od czasu do czasu, przeważnie nocą, trochę „farofy”, albo jakiś owoc, i Krzych połykał to, nie patrząc nawet, kto to robi.

Co jakiś czas, bandyci spotykali się ze swoimi sympatykami czy współnikami, którzy informowali bandę, skąd podąża na nich obława. Jak się okazało bowiem, bandyci przebrali już miarękę i rządy dwu stanów postanowiły bandę zlikwidować. Z jednej takiej rozmowy, wypadkiem podsłuchanej, Krzych dowiedział się, że są już w stanie Santa Katarina, i stracił wszelką nadzieję. Tem bardziej, że Żozé od czasu do czasu podjeżdżał do jeńców i uspokajał ich, że niedługo już tej męczącej jazdy, bo i tak się ich wkrótce zastrzeli.

— Mieście cierpliwość, sinjores!—mówił słodko. — Ja wiem, że nasz sposób podróży jest męczący, że wasze delikatne ciała na tem cierpią. Ale to już przecież niedługo. Bo albo sinjor „ku-

randejro” zrobi cud i pojedziemy na dywanie latającym, albo my odeślemy panów drogą powietrzną wprost do nieba... Tylko cierpliwości!

Jeńcy nie odpowiadali mu zupełnie i to drażniło go coraz bardziej. Natomiast Luiz jechał bez słowa i rozglądał się niespokojnie wokoło: widocznie rozumiał, jako dowódca, że sytuacja jest niezbyt dobra. Jeden Pinjejro sprzyjał jeńcom, ale bał się to okazywać. Czasem tylko przejeżdżał koło nich i mruzczał półgłosem do pana Potockiego:

— Pan jesteś prawdziwy „kurandejro”! Od czasu, jak jem tylko to, co rośnie — jestem już o wiele zdrowszy...

Wreszcie konie i muły bandytów były tak wycieńczone, że banda musiała zrobić większy popas. Na jakiejś polanie zatrzymali się i, rozsiadławszy konie, zbudowali prymitywny szałas, t. zw. „ranszo”. Odpoczywali tam dwie noce i dzień, a kiedy jeszcze o zmroku ruszyli znowu w drogę, usłyszeli wszyscy kilka strzałów karabinowych, które rozlegały się to z jednej, to z drugiej strony.

— Otaczają nas! — mruknął Luiz.

— W takim razie skończmy naprzód z tymi dwoma! — zawołał żozé.

— Myśl, żebyś swoją skórę uratował! — odezwał się Pinjejro.

Teraz Krzych ocknął się ze swego odrętwienia: w ciemności dokazywał cudów ekwilibrystyki, aby przełożyć ręce do przodu i kilkakrotnie omal, że nie spadł z konia. Kiedy mu wreszcie to się udało, odnalazł ukryty przez siebie w siodle

sztylet i pośpiesznie zaczął przecinać więzy. Namęczył się z tem sporo, ale ręce już trochę przyzwyczajone do więzów i więzy przez drogę lekko obluźnione ułatwiły mu nieco zadanie. Nareszcie ręce miał wolne, ale co dalej? Równie dobrze mógł być zastrzelony w czasie potyczki bandytów z policją, jak poprzednio.

Tymczasem po lesie rozległy się sygnały trąbek i gwizdków: widocznie oblegający byli już pewni swego i nie krępowali się w zdradzaniu swej obecności.

Trzeba było działać szybko, bo chwila była groźna. Krzych podjechał czem prędzej do pana Potockiego i szepnąwszy mu, aby był cicho, szybko przeciął mu więzy.

— Boże! Broni, jakiegokolwiek broni! — zaszeptał przez zaciśnięte zęby pan Potocki. O tem samem zresztą myślał Krzych, choć zdawał sobie sprawę, że i wtedy jego sytuacja nie będzie jeszcze najlepsza.

Naraz Luiz zawołał:

— Chłopcy! Jedyna dla nas nadzieja to zaatakować w jednym miejscu pierścień atakujących i przebić się. Inaczej wyduszą nas, jak szczury. Ot, tam miga kilka zielonych mundurów — uderzmy na nich, a z pewnością zwieją. Naprzód!..

Bandyci zrozumieli, że dowódca dobrze radzi, i rzucili się z dzikim krzykiem, choć zaraz buchnęły strzały i kilku z nich spadło z koni. Między nimi był Luiz, ale nawet strata dowódcy nie powstrzymała zrozpaczonych bandytów. Wszyscy

myśleli tylko o uratowaniu swego życia, oprócz złośliwego żozé, który podskoczył w ostatniej chwili do jeńców i krzyknął:

— Dowidzenia w piekle!

W tej samej chwili jednak Pinjejro podbił mu dłoń z pistoletem, a olbrzymi pan Potocki objął żozégo w serdecznym uścisku i, ściągnąwszy go z siodła, rzucił na ziemię, wrywając mu po drodze rewolwer z ręki. Jednocześnie rozległ się strzał karabinowy i żozé padł na ziemię.

— Stój! Stój na miejscu, sinjor! — usłyszał Krzych wołanie pana Potockiego i zatrzymał swego muła, który rwał się za innemi.

Strzelanina i krzyki oddalały się coraz bardziej, a na polanie zostało tylko kilka trupów i kilka wierzchowców bez jeźdźców. Pan Potocki podjechał do Krzycha i, objąwszy go, poklepał — zwyczajem brazylijskim — po plecach:

— No, wieleś mi pomógł, sinjor! Inaczej ten warjat żozé byłby mnie wykończył! Teraz musimy trzymać się zdaleka od bandy, bo nas jeszcze policja weźmie za ich spółników i zastrzeli, albo uwięzi. Zresztą musimy przecież odebrać swoją własność, a jak dobrze pójdzie to i zabrać zdobycz, która i tak przepadłaby w puszczy. Ot, parę koników i mułów bardzo się nam przyda, a i w juczkach coś się pewno znajdzie...

— Jabym chciał tylko odebrać swój aparat, plecak i notes! — kłopotał się Krzych, przeszukując juki Luiza.

— No, a ja muszę sobie zwrócić przecież stra-

tę mojego towaru! — burknął pan Potocki. — Musimy też uzbroić się należycie, bo jeszcze nie wiadomo, co nas czeka.

Naraz pan Potocki wyciągnął rewolwer i krzyknął:

— Uwaga! Jeden został jeszcze! Ręce do góry!

Z za drzewa wyszedł wówczas ogromny Pinjejo i, kłaniając się uprzejmie, powiedział:

— Wdzięczne serce przemogło poczucie obowiązku i solidarności z towarzyszami. Zostałem z panami, ponieważ sinjor „kurandejro” uratował mi życie, a ten mały sinjor był dla mnie zawsze grzeczny. Jeżeli panowie dadzą mi muła, broń i trochę rzeczy, postaram się zostać uczciwym człowiekiem. Przydam się też panom do obrony w tych niebezpiecznych stronach. Znam różne przejścia i „pikady”.

Pan Potocki zamyślił się:

— Zgoda! Będziesz sinjor prowadzić juczne muły i wybierać drogę. Ja będę stanowić straż tylną, a mały sinjor i juki pójdą w środku.

Czem prędzej więc zebrano konie i muły, poprawiono siodła i juki. Mały oddziałek, złożony z trzech obficie uzbrojonych jezdnych i trzech zwierząt jucznych, był już gotów do drogi. Ponieważ odgłosy toczącej się bitwy ściągnęły milicję w jedno miejsce, pierścień oblężenia się przerwał i nasi wędrowcy, udając się w przeciwnym do ataku bandytów kierunku, nie napotkali żadnej przeszkody. Mimo to, kołowali jeszcze czas jakiś po

lasach, aby wyjść w miejscu dość odległym od stron, w których wszystko to się odbyło.

Krzych jechał dumnie na wspaniale zdobionym siodle, z fakonem i małym, zgrabnym rewolwerem za pasem, u siodła zaś miał przymocowany zgrabny karabinek Winchestera. Teraz, kiedy już najgorsze przeszło, wracał mu powoli humor i zamiłowanie do „dokonywania” wielkich czynów. Ostatecznie nie miał się czego wstydić: nieraz ogarniał go coprawda strach, ale nic przecież takiego nie zrobił pod jego wpływem, coby go kompromitowało. Ba! z całej tej historii z przecięciem więzów mógł być nawet dumny. A teraz jedzie sobie konno i zbrojno, jak jakie Sokole Oko, albo Old Firehand, przez najprawdziwszą puszcę, z prawdziwymi wygami „interioru”, z których nawet jeden był bandytą... No, niema mowy, żeby to wszystko nie zostało uwieńczone w notesie i to ze szczegółami! Szkoda tylko, że nie można było porobić fotografii! Tylko... ach, tak! Odszukanie „Tuśka” znowu odwlekło się w nieznaną przyszłość... Trzeba będzie odbywać zpowrotem całą tę ogromną podróż do Apukarany. I listu do „Muśki” od tak dawna nie pisał...

Krzych spochmurniał znowu i jechał zamyślony tak, że nie spostrzegł nawet, iż zbliżyli się do jakiejś wendy, stojącej samotnie. Gospodarz wyszedł na ich spotkanie z uszanowaniem i spoglądał z uznaniem na broń i wierzchowce.

— Skądże panowie i dokąd?—spytał uprzejmie.

— Szukamy dobrej ziemi na kupno wielkiej fazendy — odpowiedział wymijająco pan Potocki, zsiadając z konia.

— Ziemi na fazendę? — powtórzył gospodarz. — To tak, jak ten biedny sinjor Miguelo...

— Cóż to za jeden? — podtrzymywał niedbale rozmowę pan Potocki.

— A bo ja wiem? Zdaje się, że Niemiec. A może nawet Polak. Kupił tu wielki kawał ziemi, ale cóż z tego? Rodziny nie ma, a dostać tutaj pracownika najemnego także nie tak łatwo: każdy woli być na swoim, niż wysługiwać się komuś.

— To prawda! — mruknął pan Potocki. — No i cóż z nim się dzieje?

— A, no bieduje bardzo. U mnie już się zadłużył setnie, na zdrowiu coraz bardziej zapada, a ostatnio nawet od dłuższego czasu nie był u mnie... Już chyba z miesiąc. Chciałem nawet wybrać się do niego, ale nie mogę przecie zostawić wendy samej, tem bardziej, że syn pojechał z dużą „tropą” bydła do Rijo Grande.

— A może chory? — spytał Krzych.

— Pewnie chory — spokojnie zgodził się wendysta. — A może nawet jakie „biszo” go napadło, albo nawet Bugrzy go zabili. Chociaż Indjanie w naszych stronach są już teraz spokojni...

— Ależ to trzeba mu pomóc! — zawołał Krzych.

— Pewnie, mój młody panie... Choć co człowiek może zrobić przeciwko losowi? Jeśli ma

umrzeć, to i tak umrze, a jeśli ma żyć, to mu i pomoc niepotrzebna...

Krzych zamyślił się... Przez tego nieznanego człowieka znowu opóźni się ich marsz do Apukarany! A on może nawet i nie potrzebuje ich pomocy? Ba! ale przecież Stanley wracał przez straszną, dopiero co przebytą puszcę, aby dowiedzieć się, czy nie stało się co dowódcy jego straży tylnej — Bartolletowi. Nie, nie można tego obcego człowieka pozostawić samemu sobie! W najgorszym razie zabiorą go ze sobą i zostawią w jakim mieście, w szpitalu...

— I ja tak myślę! — kiwnął pan Potocki, gdy Krzych przedstawił mu swoje plany.

— Panowie postępują bardzo po rycersku! — zachwycał się wendysta i wskazał im drogę do fazendy. — Jeżeli zaś biedny Miguelo żyje, proszę mu przypomnieć o moim długu.

Pan Potocki mruknął coś niezbyt wyraźnie i pojechali. Droga była coprawda ledwo widoczna i raczej trzeba było domyślać się jej, a i fakony były ciągle w robocie. Jechali już dość długo, a nie napotykali żadnego śladu pobytu człowieka. Naraz natknęli się zupełnie niespodzianie na pochylony płot i jednocześnie z nędznego szałas, ledwo przypominającego dom mieszkalny, wyskoczyła gromada chudych psów i zaczęła gwałtownie ujadać.

— Dobre psy! — cmoknął Pinnejro. — Na tapiraby się nawet nadały.

— Dobre psy! — przytwierdził i pan Potocki.

Zatrzymali się przed skrzywioną bramą i zaczęli klaskać w ręce. Nic to jednak nie pomagało. Potem wołali wszyscy pokolei: „O, da kaza! żen-te da kaza! — „Ludzie z domu!” Ale i na to nikt nie odpowiadał, ani nie wychodził.

— Umarł, czy co? — mruknął pan Potocki i, nie zważając na zaciekle szczekanie psów, zaczął otwierać bramę. Następnie wszyscy wjechali na podwórze, podeszli do otwartych drzwi chaty i zaklaskali raz jeszcze.

Wówczas z wnętrza chaty odezwał się słaby głos.

— A pe!

Psy uspokoiły się i trzej podróżni weszli do ciemnej izby. To, co zobaczyli — wstrząsnęło ich nerwami: na marnym barłogu, w kącie chaty leżał chudy, obrośnięty dawno niegolonym zarostem człowiek, o ziemisto-żółtej skórze twarzy. W przeraźliwie chudej ręce trzymał rewolwer. Na przybyłych jednak spojrział wcale nie wrogo, a nawet uśmiechnął się słabo. Patrzył na nich pokolei bez zdziwienia, jakby ich oddawna oczekiwał. A gdy zatrzymał wzrok na Krzychu, poruszył ustami i wyszeptał cicho:

— Jak się masz, Krzychu?.. A lekcje już odrobiłeś? Może ci w czem pomóc?.. A potem będziemy majstrować samolot...

— „Tusiek!” — ryknął nieswoim głosem Krzych i rzucił się ku wynędzniałemu człowiekowi, płacząc tak rozpaczliwie, głośno i dziecinnie, jakby nie był wcale zastępowym Rysi i wielkim

podróżnikiem, który miał nadzwyczajne przygody. Kto wie jednak, czy Czarniecki i Stanley nie splakaliby się w podobnej sytuacji...

Pan Potocki i Pinjejro cicho wysunęli się na dwór, ale już po chwili wybiegł do nich splakany Krzych, wołając:

— Nieprzytomny, nieprzytomny, ratujcie go, ratujcie! Może ranny, może zmija go ukąsiła? Trzeba zaraz go zbadać!.. Zaraz!..

Trójka wielkich, pręgowanych, jak tygrysy, psów, kręciła się przyjaźnie koło nich, jakby rozumiejąc, że są to przyjaciele, którzy przyszli pomóc. Krzych siadł na progu i objął je obiema rękami, wyplakując w ich szerść całą swoją rozpacz, a one lizwały go troskliwie po twarzy. Tymczasem Pinjejro i pan Potocki badali chorego. Nie trzeba było zresztą długiego badania: pan Potocki, choć nie był znachorem, dobrze znał choroby interioru:

— Ankilostoma! — mruknął.

— Mal da terra! — „Choroba ziemi!” — potwierdził Pinjejro. — Na to niema lekarstwa...

— Nieprawda!—porwał się z ziemi Krzych.— Mam przecież broszurkę... I lekarstwa... Zaraz znajdę!

Ręce mu się trzęsły, a w głowie huczała uporczywa myśl, co będzie, jeżeli lekarstwa się zniszczyły w czasie drogi. Na szczęście jednak znalazł spore kapsułki w żółtawej żelatynie i opis ich użycia. „Anti-ankilostoma!” — zbawczy środek na najstraszniejszą chorobę „interioru”, w której

człowiek więdnie i słabnie z dnia na dzień, a wreszcie umiera z wycieńczenia.

Jakże dobry jest Bóg, że pozwolił Krzychowi przybyć tak bardzo w porę! Teraz dopiero zrozumiał Krzych, że nawet bandyci byli narzędziem Opatrzności, które go przywiodło tutaj, odciągając od fałszywego śladu, na który mu się zdawało, że wpadł w owej Apukaranie. A coby było, gdyby skuszony egoizmem, nie chciał zajechać do owego nieznanego sinjora Miguela! Aż zimno się robiło Krzychowi na samą myśl o tem!..

W pierwszym momencie przytomności ojca Krzych dał mu zażyć lekarstwo, następnie otulił go, czem mógł, bo pora była chłodna, i zasiadł przy jego pośłaniu. Zauważył tymczasem, że pan Potocki znosi wraz z Pinjejem siodła i juki do izby i rozgospodarowuje się na dobre.

— A no, cóż — odpowiedział pan Potocki na jego pytający wzrok — będziemy musieli zostać tu przez dłuższy czas. Z takim zdrowiem człowiek nie może ryzykować podróży. Zresztą — jeśli się nie mylę — ta ziemia jest własnością pańskiego ojca, sinjor, prawda? Będziemy więc musieli zająć się nią i doprowadzić do dobrego stanu. Tem bardziej, że cały ten wendysta bardzo mi się nie podoba, a jego dług wygląda na mocno podejrzany.

— Tak, to doskonała myśl! — powiedział już trochę uspokojony Krzych. — Będziemy sprzedawać „herwę”, sadzić kukurydzę, „fiżon” i ryż.

— No, dla ryżu to będziemy musieli chyba

prosić o kawałek innego klimatu i gruntu — mruknał z pod wąsów pan Potocki — bo tu się nie uda.

— Ale przecież — bronił się Krzych — w tych okolicach wszyscy jedzą tyle ryżu! Ryż z „fizonem” to codzienna potrawa tutejszych mieszkańców.

— Ryż udaje się w Brazylii, ale w okolicach cieplejszych i obfitszych w wilgoć. A do innych ryż jest sprowadzany. Także kawa nie udaje się w stanach południowych, a znowu żyto w północnych. Ale co tam o tem będziemy gadać: jutro obejrzymy gospodarkę i zobaczymy, co się tu da zrobić. Z głodu w każdym razie nie umrzemy: są psy!

— Nie rozumiem! — bąknął Krzych. — Co mają psy do pożywienia?

— Zobaczy sinjor jutro! A tymczasem kładźmy się spać...

Zaraz na drugi dzień, po daniu lekarstwa ojcu, Krzych z towarzyszami wybrał się na obejrzenie posiadłości ojca. Nie można powiedzieć, żeby nie był trochę dumny, boć to przecie była i jego własność. Czuł się prawie „fazenderem”, oglądającym swoje „tereny”. Zabawne mu się wydało, że każde drzewo na tym kawałku jest jego własnością i może z niem zrobić, co mu się podoba. Rozglądał się więc z powagą, ale poza gąszczem leśnym i kilkoma małemi polankami nic ciekawego nie dostrzegął.

To też zdziwił się bardzo, gdy pan Potocki i Pinjejro spojrzeli w pewnej chwili na siebie i powiedzieli:

— Dobrze jest!

— Co jest dobrze? — poskoczył do nich Krzych i spojrział w kierunku, gdzie oni patrzyli.

— Jest „herwa”! — odpowiedział Pinjejro, szczerząc zęby i pokazując palcem przed siebie.

— Która? Jakto? To to drzewko jest „herwą”? Myślałem, że „herwa” to krzak!

— Tak, to „herwa”! — potwierdził pan Potocki. — „Herwa”... ba! Sinjor nawet niewie, co to jest dla nas tu „herwa”! Herwa to nie tylko zwyczajny napój, ale także podtrzymanie sił fizycznych i możliwość wytrzymania przez pewien czas nawet bez jedzenia. Herwa — to uśmierzanie pragnienia w upał, tem bardziej, że surowej wody pić tu nie można. Herwa — to miła zachęta do pogawędki i prawie obrządek gościnności. To też kto ma herwę — ma kapitał.

— A więc my mamy herwę?

— Jest. I nawet sporo. A co najważniejsze: właśnie obecnie, w porze zimowej jest czas „safry”, to jest obcinania gałązek, aby na wiosnę mogło drzewo puścić nowe pędy.

— A czy są w naszej fazendzie jakieś plantacje?

— Plantacje? — podniósł brwi pan Potocki. — Chyba tylko polnych koników... Ale trochę tam zasadzonych poletek musi chyba być.

— Są „ajpy” i trochę zboża! — odezwał się Pinjejro. — Tu, na prawo...

— Aha, wiem! Jadłem „ajpy” — pochwalił

się Krzych. — Mają smak przemarzniętych ziemniaków.

— żyto niedługo można będzie zbierać... — mrucał pan Potocki do siebie. — No, a potem trzeba będzie sadzić „milję”, to jest kukurydzę, na miejscach, gdzie ojciec wyciął i spalił trochę lasu. „Milja” idzie zawsze pierwsza po lesie. Sami też będziemy musieli trochę „rossować”...

— Nic nie rozumiem — odął się trochę Krzych. — Więc jakie roboty nas czekają?

— „Safra” herwy to raz! — wyliczał na palcach pan Potocki. Za miesiąc - dwa zbiór żyta. Jednocześnie możemy ściąć trochę grubszych drzew, żeby sobie ułatwić karczowanie i palenie ściętych drzew w przyszłości. Bo zazwyczaj robi się to dopiero w kwietniu - maju. A na sadzenie kukurydzy jest właśnie odpowiednia pora.

— Aha, więc będziemy musieli kupić trochę narzędzi rolniczych!

— Narzędzi? — zaśmiali się obaj towarzysze Krzycha. — Najważniejsze narzędzia — to kij i pięta...

— Pięta?

— Tak! Kijem robi się otwory w ziemi, a piętą zdeptuje. I basta...

— No, ale słyszałem, że w rolnictwie używa się jakichś nawozów naturalnych lub sztucznych. Skąd my tego weźmiemy?

— Sinjor, widzę, rolnik zawołany! — prychnął w wąsy pan Potocki. — Proszę tylko: narzędzia rolnicze, może traktory i pługi motorowe?

Nawozy sztuczne? Pi - pi! U nas, sinjor, nawozem sztucznym jest sam popiół ze spalonych drzew. To wszystko!..

— No, ale chyba... w ten sposób ziemia się wyjaławia? — dyskutował uparcie Krzych.

— Pewnie! Ale co to kogo obchodzi? Ziemi w Brazylii jest aż za dużo. Wyczerpie się tu, to się idzie gdzie indziej, dalej w lasy...

— A... — zająknął się Krzych — czem będziemy się tymczasem żywili, nim żyto dojrzeje i kukurydza? Czy tylko „ajpami”? Niebardzo to smaczne, a w dodatku jest ich niewiele...

— No, przecie sinjor sobie przypomniał o najważniejszej rzeczy! To ważniejsze, niż wszystkie traktory razem. Mówiłem już, że mamy psy!

— No?

— Będziemy musieli żyć tymczasem z polowania, choć to jest o wiele trudniejsza rzecz, niż się pewnym młodzieńcom przybyłym z Europy i mocno odczytanym w książkach wydaje. A polowanie tutaj jest niemożliwe bez psów. Proste więc rozumowanie: mamy psy — będziemy mogli polować, a będziemy polować — będziemy mieć pożywienie! „Komprende”?

— Siń, komprendo! — Tak, rozumiem! — powiedział wesoło Krzych po portugalsku. — A na co będziemy polować: na tapiry, jaguary?..

— Tapiry, jaguary! — przekomarzał się pan Potocki. — Dobrze, jak się trafi mniejsza zwierzyna: kapiwar, paka albo tatetu.

— Owszem, wiem! — spokojnie odpowiedział

Krzych. — Kapiwar i paka to są duże gryzonie rzeczne, a tatetu — to zdaje się dzika świnka?

— Właśnie. A może sinjor i małpki spróbowaliby?

— Brr! Za żadne skarby!

— Dlaczego? — obruszył się naraz Pinjejro. — Ja nieraz jadłem małpę: to bardzo dobre mięso!

— Nie, nie! — zawołał Krzych. — Zanadto podobna do człowieka! A czemu pan mówił, że tu polowanie jest trudne?

— Bo duże tereny, a zwierzyna sobie spaceruje, gdzie się jej podoba, zamiast grzecznie i uprzejmie czekać na pana myśliwego. Wogóle straszny jest brak kultury w tej Brazylii...

— Ale pójdziemy na polowanie, prawda? Może zaraz? — niecierpliwił się Krzych, który przecie jeszcze ani razu nie wystrzelił ze swego wspianego Winchestera, ani nawet z rewolweru „zdobycznego”. Jakże to będzie wyglądało, jeżeli w grubym notesie nie znajdzie się ani jedna notatka o łupie myśliwskim?

Okazało się jednak, że na polowanie trzeba iść rano, kiedy zwierzyna ściąga do wody. Większość bowiem polowań w Brazylii odbywa się w pobliżu wody. Psy napędzają zwierzynę do wody, a tam już czatuje myśliwy. Tak też stało się i tym razem. Krzych i pan Potocki zasiedli przy małym stawku, do którego prowadziły liczne ścieżki, wydeptane przez zwierzynę, a Pinjejro poszedł z psami w las i, zakreśliwszy wielki łuk, puścił psy.

Dzielne były to psiska! Już po odgłosie ich szczekania, które coraz to zbliżało się do stawku, myśliwi mogli się przekonać, że zrozumiały one, czego się od nich oczekuje.

Potem nastąpiła krótka cisza i naraz Krzych usłyszał zupełnie bliski szelest. Spojrzał na pana Potockiego, ale ten — rzecz dziwna — odwrócony był w inną stronę i zdawał się wcale nie słyszeć dosyć przecie głośnego szmeru. Wobec tego Krzych oparł Winchester na pieńku, bo bał się, żeby mu nie drgnęła ręka, i wpatrzył się w gąszcz lasu.

Serce biło mu jak młotem, ale trzymał całą swoją uwagę na uwięzi. Jest! — Z ciemnawej gęstwiny wysunęło się coś jeszcze ciemniejszego i zmierzało powoli do wody. Teraz Krzych już nie czekał: pociągnął cyngiel i wypalił! A dla pewności palnął jeszcze drugi i trzeci raz. Ciemna masa wydała jakiś dziwny głos, podskoczyła do góry i padła tuż przy brzegu stawku. Rzucili się do niej obaj i... naraz pan Potocki wybuchnął ogromnym, niepowstrzymanym śmiechem:

— Ależ to jest... to jest — nie mógł wymówić. — To trzeba mieć szczęście, żeby w sercu puszczy brazylijskiej zabić domowego... ha - ha - ha!.. domowego prosiaka!..

Krzych stał zupełnie zgnębiony: co za wstyd! Czemuż nie poczekał i nie przyjrzał się lepiej? I skąd to przeklęte bydlę się wzięło?

Ale pan Potocki nagle spoważniał:

— Śmiech śmiechem, ale doskonale się stało,

że sinjor ustrzelił tego „porko”, bo z tego można wnioskować, że ojciec sinjora musiał hodować te „bisza”, które zresztą w interiorze zawsze biegają luzem i dziczeją. Będziemy musieli zwabić je do zagrody dobrem jadłem i zamknąć, bo coś zanadto zdziczały...

Naraz obydwaj myśliwi zamarli w bezruchu: w zaroślach rozległ się potężny rumor, jakby jaki wielkolud łamał gałęzie i krzaki.

— „Anta!” — szepnął pan Potocki. — Czyli tapir mówiąc po polsku.

W tej samej chwili z gęstwiny wypadło olbrzymie cielsko, torując sobie nową ścieżkę w gęstwini, i wpadło do wody, a zaraz za nim psy, które zaczęły go oszczekiwać.

Strzał był trudny, bo można było zranić którego z psów. To też obydwaj myśliwi podbiegli bliżej i przyklęknawszy, zaczęli mierzyć. Trwało to długo, bo coraz któryś z psów zasłaniał opędzającego się nieudolnie tapira. Wreszcie zziajane psy odskoczyły na chwilę i buchnęły dwa strzały! Tapir zaczął silnie chlapać dokoła siebie wodą, potem kiwnął się kilka razy i naraz znikł pod wodą.

— Bastante! — Dosyć! — mruknął pan Potocki. — Ale z wydobyciem go z wody będziemy mieli urwanie głowy, bo to kawał cielska....

— Ale kto go właściwie zastrzelił? — niepokoił się Krzych.— Mnie się wydawało, że strzeliłiśmy razem?

Pan Potocki popatrzył na Krzycha z pod przy-
mrużonych powiek i nibyto zdziwił się bardzo:

— Proszę! Ja drugiego strzału nie słyszałem!

— Ależ strzeliłem, napewno strzeliłem, tylko,
że jednocześnie, więc...

— Sinjor mnie nie rozumie: ja nie mówię, że
nie słyszałem strzału sinjora! Szyszałem go dosko-
nale, bo sinjor strzelił mi tuż koło ucha tak, że za-
głuszył odgłos mojego strzału. Dotąd mi w uchu
dzwoni...

— W takim razie bardzo przepraszam! —
speszył się Krzych. — Ale bałem się, że ucieknie...

— No, pewnie, że lepiej było zabezpieczyć się,
aby stary Potocki nie spudłował... A przytem: co
„anta” to nie prosiak, prawda? Wszystko w po-
rządku...

Dopiero z nadejściem Pinjejra można było wy-
ciągnąć tapira z wody, a i to było z tem sporo kło-
potu. Pan Potocki wziął się zaraz do sprawiania
zwierza, ale po chwili zatrzymał się i powiedział:

— O, do pioruna! Ja sobie żartuję, a z sinjora
jest naprawdę dobry strzelec! Bo że ja, stary wy-
ga, celowałem i trafiłem w „komorę” — to nic
dziwnego, ale obie nasze kulę tkwią obok siebie.
No, no!..

Nareszcie prosiak był zmazany i zapomniany!
Teraz już można było umieścić w grubym notesie
krótką notatkę: „ustrzeliłem dziś tapira”. Boć
przecie gdyby nawet pan Potocki wcale nie strze-
lił — tapir byłby położony. A i pożytek poważny,
bo można zrobić rosół dla „Tuśka”...

Dzień ten wogóle był szczęśliwy, bo „Tusiek” zupełnie oprzytomniał i cichym głosem opowiedział, co się z nim działo. A więc list istotnie wysłał przez znajomego z Rijo, a stąd z „fazendy” dwukrotnie przez wendystę. Widocznie jednak nie zostały dalej posłane, lub uwięzły gdzieś w drodze. Kupno ziemi, na które go namówili znajomi, może nie byłoby takim złym interesem, gdyby nie ta choroba, której niewiadomo kiedy się nabawił.

— A właściwie, gdzie jesteśmy? — zapytał Krzych.

— W stanie Santa Katarina, mój zuchu — powiedział ojciec. — Niedaleko Itajopolis...

— Bagatela! To nawet nie wiedzieliśmy, żeśmy wypłynęli z lasów tak blisko Botokudów! A czy oni pana nie niepokoili? — spytał pan Potocki.

— Nie! Od czasu, gdy biały człowiek, niejaki Eduardo Hoerhann został ich kacykiem, a ksiądz polski z Itajopolis, nazwiskiem Kominek, ochrzcił ich dobrą liczbę — siedzą spokojnie. Czasem nawet pokażą się, ale można z nimi dojść do ładu, o ile się im nie robi krzywdy, albo nie wchodzi w drogę przy polowaniu.

— Ach, „Tušku”, tu jest wspaniale! — zawołał Krzych. — Prawdziwa puszcza, polowanie, Indjanie. Kto wie, może i ja mógłbym zostać ich kacykiem? Zostańmy tutaj! Sprowadzimy „Muśkę” i będziemy mieszkali z panem Potockim i Pin-jejem.

— Z wami napewno byłoby mi tu całkiem ina-

czej! — uśmiechnął się chory. — Pomyślmy jeszcze. Ale opowiedz mi, skąd się tu wziąłeś? Kto cię przywiózł?

— Jako: przywiózł? Nikt mnie nie przywiózł, sam przyjechałem. Zobaczyłem, że „Muśka” ciągle popłakuje i pożycza pieniądze od jakiegoś podejrzanego człowieka, a że akurat wypadały wakacje, więc postanowiłem odwiedzić cię w Brazyli i zabrać ze sobą do domu. Pomógł mi pan Leśkiewicz, wiesz? — ten od gimnastyki, nasz opiekun, i zgłosiłem się za „stiuarda” na okręt polski. W poselstwie mi powiedzieli, że wyjechałeś do interioru, więc pojechałem cię szukać. Ktoś mi powiedział, że jesteś w Apukaranie...

— Byłem i tam — wstawił ojciec.

— ...więc tam pojechaliśmy, ale bandyci nas porwali i przywieźli z sobą aż w te okolice. Ale tu otoczyła ich policja, więc uciekli, a ja rozciąłem sobie więzy i uciekliśmy. A tutaj wendysta nam powiedział, że jest jakiś sinjor Miguelo, który potrzebuje pomocy, ale nie myśleliśmy, że to ty i już wybieraliśmy się zpowrotem do Apukarany... Wreszcie znaleźliśmy cię i zaczynamy gospodarować. Tymczasem żyć musimy głównie z polowania, naprzykład ostatnio zabiliśmy tapira...

— Chodź-no tutaj, mój mały „konkwistadorze”! — wyszeptał ojciec i coś musiał sobie nagle obetrzeć koło oczu.

Krzych coprawda zaczerwienił się, ale powiedział zupełnie spokojnie:

— Tylko nie męcz się, „Tusiek”, bo to ci szko-

dzi. Możesz być zupełnie spokojny: my się tu zajmujemy wszystkim. Sprzedamy herwę, zasadzimy „milję”, bo właśnie jest odpowiednia pora, no i trochę „porossujemy”... A te pieniądze za herwę, to trzeba będzie chyba posłać „Muśce”, prawda?

— Tak, tak, syneczku!.. I list napiszemy razem...

— Ale herwę sami wysuszymy i zemlemy, a potem powieziemy do większego miasta. Bo ten wendziarz to zwędziłby panu sto procent dochodu. A tak to zapłacimy cały ten jego dług i jeszcze nam zostanie sporo pieniędzy...

Uradzono więc, że pan Potocki i Krzych pojedą z jucznymi mułami, obładowanemi herwą, a Pinjejro zostanie na miejscu. Wendysta mocno się krzywił, kiedy zobaczył przejeżdżające z herwą muły, ale usiłował się uśmiechnąć i życzyć szczęśliwej podróży.

Droga do Itajopolis trwała pięć dni, ale już czwartego dnia popołudniu zobaczyli wysoką wieżę kościoła polskiego z Itajopolis, zwanego także inaczej Luceną. Wieża ta to znikąca za jakąś górą lub lasem, to pokazywała się znowu i Krzychowi wydawało się, że jest to latarnia morska na ogromnym zielonym morzu lasów. Kiedy podjeżdżali do plebanji, zobaczyli akurat samego księdza Kominka. Był to wesoły, krępy i energiczny człowieczek, który odrazu przywitał ich, jak dobrych znajomych:

— A, przyjechali fazenderzy z pod Bugrów!— zawołał zdaleka.

— Skądże to ksiądz dobrodziej wie już o nas? — zaśmiał się pan Potocki.

— Ba, w interiorze jest specjalny telegraf bez drutu, tak zwany „pantoflowy”! — odpowiedział ksiądz. — Jakże tam ten pan Michał? Lepiej się miewa?

— Lepiej! Miał „ankilostomeę” — objaśniał Krzych. — Ale na szczęście miałem ze sobą lekarstwo...

— O, widzę, że mi tu konkurencję robią! — zawołał ksiądz. — Bo do tej pory, to ja miałem przywilej być tutaj wszystkim: i księdzem, i nauczycielem, i doktorem, i doradcą prawnym, i nawet kolonizatorem.

— Wiem, wiem, że te tereny nawet, na których siedzimy, zawdzięczamy księdzu! — powiedział pan Potocki.

— A cóż tam — moje Bugry czyli Botokudy, nie dokuczają wam czasem? Bo jak się będą źle sprawować, to będę musiał zdetronizować Eduarda i sam zostać ich kacykiem... No, a kawalerowi podobało się w puszczy? Miałby ochotę zostać tutaj na stałe?

— O, tak! — odpowiedział Krzych i z zadowoleniem zauważył, że jakoś mniej się wreszcie czerwieni. — Właśnie chcemy napisać do mamy, żeby się przygotowała do wyjazdu, bo chcemy ją sprowadzić i osiąść tu na stałe.

— Hh, hm... — zamruczał ksiądz. — Każdy urządza się, jak mu się wydaje najlepiej... A do Polski jużby kawaler wcale nie chciał wracać?

— Jakto wcale? — zdziwił się Krzych. — Zarobimy trochę pieniędzy i za kilka, kilkanaście lat...

— Ba, w tem rzecz! — westchnął ksiądz, prowadząc powoli przybyłych na plebanję. — Wielu tak myśli, ale na gospodarce w Brazylii bardzo mało osób dorabia się większych pieniędzy. żyć tu można łatwo i wyżyć nieźle — to prawda. Ale odłożyć większą sumę pieniędzy — dość trudno. To też reemigracja z Brazylii jest prawie żadna. Kto tu osiadł — ten dla Polski jakby stracony. Prawda, że dbamy o zachowanie mowy, religji i obyczajów własnych, ale rząd brazylijski bierze się do emigrantów coraz ostrzej. Zakłada szkoły z językiem wykładowym portugalskim, a na nasze polskie szkoły patrzą trochę krzywo. Tymczasem jeszcze udaje nam się, ale i dziś już zdarza się, że dziecko polskie, urodzone w Brazylii, potrafi powiedzieć tak, jak mnie jedna dziewczynka w Kurytybie:

— Komprendo polako, mas nã falo! — Rozumiem po polsku, ale nie umiem mówić!...

Krzych zamyślił się. Te sprawy nie przychodziły mu na myśl. Czy Czarnecki zgodziłby się na to, aby jego dzieci wyrzekły się Polski i mówiły w obcym języku? Czy Stanley wyrzekłby się języka angielskiego, aby przyjąć jakikolwiek inny, jako rodzony?...

— Nie rozumiem jednego — powiedział w zamysleniu. — Przecież ci wszyscy Polacy to obywatele polscy?

— Właśnie, że nie! — powiedział żywo ksiądz Kominek. — Prawo brazylijskie powiada, że urodzeni na ziemi brazylijskiej stają się tem samym obywatelami brazylijskimi... Utrata tej wielkiej części naszego narodu dla polskości jest bardzo możliwa, choć postępuje jeszcze powoli...

— A naprzykład w razie napadu na Polskę jakichś wrogów możnaby pojechać na jej obronę? — spytał jeszcze Krzych.

— Gdyby Brazylja była wówczas po stronie polskiej lub neutralna, to zapewne możnaby; ale gdyby była po stronie naszych nieprzyjaciół, to uważanoby to za zdradę stanu, za zdradę ojczyzny brazylijskiej...

— Wszystko to bardzo pięknie — odezwał się pan Potocki — ale w Polsce jest przeludnienie i bezrobocie. Nie mają się ludzie gdzie pomieścić i nie mają pracy...

— Proszę pana—powiedział smutno ksiądz.— Bezrobocie obecnie jest, to prawda, zresztą jest w całym świecie, ale nie będzie to trwać stale. A zresztą niech pan pomyśli, że w Polsce wypada przeciętnie 80-ciu mieszkańców na kilometr, a w Belgji przeszło 200-tu! Znalazłoby się więc i u nas więcej miejsca, gdybyśmy się nauczyli lepiej gospodarować. A już się tego uczymy. Ot, naprzykład przeprowadza się meljorację i osuszenie Polesia, które stanie się nową, wewnętrzną „kolonją” Polski. A zbudowanie Gdyni, czyż nie zaludniło całego brzegu morskiego i nie dało pracy tysiącom ludzi? To samo będzie w miarę roz-

woju dróg, kolei, fabryk i racjonalnie prowadzonych gospodarstw. Musimy naprzód „skolonizować” nasz własny kraj i usunąć z niego obce kapitały, które panoszą się na Śląsku, w Łodzi, Żyrardowie, w zagłębiu naftowem, a nawet w samej stolicy. Musimy zastąpić różnych majstrów i fachowców, sprowadzanych z zagranicy, naszymi ludźmi, a jeśli wtedy jeszcze będziemy mieli nadmiar ludzi, wówczas pomyślimy o emigracji, ale — mam nadzieję — postaramy się wtedy o własne kolonje, gdzie Polak nie będzie się wynaradawiał, a zarazem będzie się hartował i zaprawiał do organizowania ludów niżej stojących.

— Może, może... — mrucał pan Potocki. — A czemuż to ksiądz siedzi w takim razie w Brazylii?

— Ba! — zaśmiał się ksiądz. — Ja to co innego: ja jestem misjonarzem i gdzie mnie poślą, tam głoszę słowo Boże i naukę chrześcijańską. A że jestem Polakiem, więc milej mi być wśród swoich i budzić zarazem ducha narodowego wśród rodaków na obczyźnie, skoro już tu się znaleźli... No, ale dość o poważnych sprawach, bo pewnie wam po tym spacerku kiszki marsza grają! Proszę na przekąskę!..

Ksiądz rozpytywał jeszcze o to i owo, radząc zarazem jak się urządzić w nowej fazendzie, ale odpowiadał mu głównie pan Potocki. Krzych milczał i myślał o czymś usilnie.

Po korzystnem sprzedaniu herwy i wysłaniu pieniędzy oraz listu do pani Żarskiej, pan Potocki

i Krzych zaszli jeszcze pożegnać się z księdzem i obejrzeć kościół, który wyglądał tak, jakby go żywcem przeniesiono z pól nad Wartą, Wisłą czy Sanem.

— O! — zawołał naraz Krzych, zadzierając głowę do góry. — Tam na wieży jest tarcza z Orłem Białym?

— A no jest!—zawstydził się jakby ksiądz.— Myślę, że i Panu Bogu jest milej, gdy Go lud we własnym języku chwali i Ojczyznę pod Jego opiekę oddaje... Brazylijski rząd chciał mi tu jakieś przeszkody robić, że niby herb obcego państwa umieszczam, ale powiedziałem, że po rozebraniu rusztowań z wieży — nie można już tarczy zdjąć, a jak chcą, to nich sami próbują. Wspomniałem też, że i koloniści polscy, choć ludzie spokojni, mogliby się zdenerwować i coś przykrego zrobić. No, i dali spokój!..

Podróżni pożegnali się z księdzem, który jeszcze za nimi zawołał niespodzianie:

— A gdybyście chcieli sprzedać fazendę, to mam tu dobrego kupca: Józka Siwaka. Ożenił się i chce na własnem osiaść...

Znowu podróżni zanurzyli się w zielone fale lasów, kołysząc się na siodłach w takt dreptania wytrwałych wierzchowców. Po drodze wstąpili do wendy, gdzie zapłacili dług pana Żarskiego za wzięte nasiona i narzędzia, poczem ostro ruszyli do fazendy. Ku wielkiej ich radości, pacjent wyszedł już na ich spotkanie wraz z Pinjejem.

— Nie chciałem sinjora puścić — tłumaczył

się Pinjejro — ale mówi, że jest już całkiem zdrów...

— Bo pewnie! W każdym razie mam tyle siły, że dałbym przynajmniej radę mojemu wielkiemu podróżnikowi, który poluje na tapiry i chce zostać wielkim „konkwistadorem” brazylijskim...

— Oj, „Tušku!” Boję się, żebyś naprawdę nie chciał spróbować swojej siły na mnie, bo zasłużyłem na to — powiedział Krzych.

— No, cóż tam zmalowałeś? — uśmiechnął się ojciec.

— Napisałem do „Muški” całkiem inaczej, niż mówiliśmy: nie żeby przygotowywała się do przyjazdu, ale do... spotkania nas w Gdyni...

— Jakto? Odechciało ci się puszczy i przygód?

— To nie, ale ksiądz z Itajopolis objaśnił mi wiele spraw, o których nie myślałem dotąd... Nie możemy tu zostać na stałe!

— I ja też synku nie myślałem o tem. Chciałem tylko, abyśmy obaj wypoczęli po trudach, a byłem pewny, że zatęsknisz za naszymi brzoza-
mi, dębami, które tak pięknie szumią, za lasami, rzekami i górami...

— Ale wiesz co, „Tušku”? Nabrałem chęci do gospodarowania i życia wśród przyrody... Takbym chciał, żebyśmy sobie kupili jakieś gospodarstwo na Polesiu, które teraz osuszają w Polsce...

— Fazendę, co? — uśmiechnął się ojciec. — No, dobrze, dobrze — pomyślmy o tem... A pan, panie Potocki, nie wyruszyłby z nami do Polski?..

Pan Potocki jakoś długo nie mógł zapalić papierosa, a potem dym poszedł mu w oczy i musiał je trzeć usilnie. Wreszcie mruknął, patrząc w głąb lasu:

— Już chyba nie... Stary włóczęga ze mnie: ciasnoby mi było w cywilizowanym kraju, bez mojego konia, fakona, rewolweru i Winchestera. Tu jeszcze szeroko i swobodnie: jadę gdzie chcę i nikt mnie nie zatrzyma... Ale sercem zawsze będę z wami: piszcie mi często, co się w kraju dzieje, przysyłajcie mi widoki stamtąd, gazety i pamiątki... Ja też wam odpiszę, gdy z puszczy do miasta wpadnę na chwilę...

W niedługim czasie przyszło do sprzedaży fazyndy i pakowania rzeczy. Krzych zabrał na pamiątkę swój fakon, trochę kolorowych piórek z ptaków, parę zasuszonych cudnych motyli i wiele innych pamiątek barwnej ziemi brazylijskiej. Zrobił też moc wspaniałych fotografii swoim odzyskanym, „bojowym” aparatem. A później wszystko mignęło szybko, jak obrazy w kinie: pożegnanie z panem Potockim i Pinjejrem, z psami, które zabrał pan Potocki, przejazd przez Itajopolis, Kurytyba, Rijo de Żanejro, statek i Gdynia, gdzie powitała ich uśmiechająca się przez szczęśliwe łązy „Muśka”.

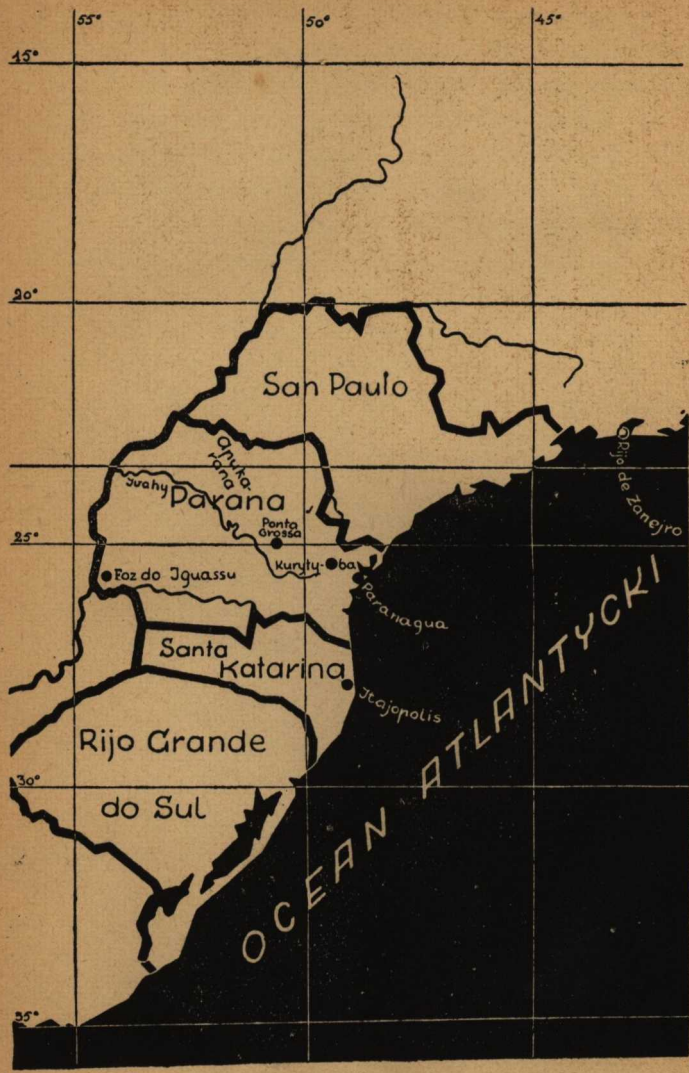
Krzych zabrał się do zacieklej pracy, dzięki której nadrobił opuszczoną część roku i mógł dogonić kolegów. Okazał, że i tu potrafi być „konkwistadorem” — zwycięzcą!

Na pierwszej zaś „gawędzie” zastępu Rysi Krzych zasiadł sobie wygodnie przy ognisku i (wcale się nie rumieniając!) rozpoczął:

— Kiedy obozowałem w puszczy pod Itajopolis, w pobliżu Indian Botokudów, rozkładaliśmy ognisko w kształcie gwiazdy.... Jest ono z wielu względów praktyczne....

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

10



POLSKA I S
BIBLIOT

WYDAWNIC

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 37297

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

- | | |
|--|------|
| 1. <i>Gen. F. Sławoj-Sk</i>
<i>danta nim Polskę</i> | |
| 2. <i>W. Lipiński. Woj</i> | |
| 3. <i>Z. Nowakowski. F</i> | |
| 4. <i>G. Morcinek. W</i> | |
| 5. <i>M. Grotowski. Źród</i> | |
| 6. <i>E. Szelburg-Zarembi</i> | |
| 7. <i>J. Meissner. Źwirko</i> | |
| 8. <i>H. Boguszewska. Cz</i> | |
| 9. <i>G. Morcinek. Dziej</i> | |
| 10. <i>A. Janowski. W stolicy</i> | 1.— |
| 11. <i>H. Boguszewska. Dzieci znikąd</i> | 0.80 |
| 12. <i>Gen. J. Römmel. Wspomnienia z bojów kawalerji</i> | 1.10 |
| 13. <i>Jim Poker. Płyną polskie okręty</i> | 1.— |
| 14. <i>Gen. J. Römmel. Kawalerja polska w r. 1920</i> | 1.10 |
| 15. <i>F. Ossendowski. Afryka, kraje i ludzie</i> | 1.— |
| 16. <i>H. Mortkowiczówna. Skarby ziemi</i> | 0.90 |
| 17. <i>J. Meissner. Na błękitnych gościńcach</i> | 1.10 |
| 18. <i>H. Naglerowa. Ludzie prawdziwi</i> | 0.90 |
| 19. <i>E. Małaczewski. Na dalekiej północy</i> | 1.— |
| 20. <i>St. M. Saliński. Pod banderą Syreny</i> | 0.90 |
| 21. <i>K. Muszałówna. Pod olimpijskim sztandarem</i> | 0.90 |
| 22. <i>J. Wiktor. Na paryskim bruku</i> | 1.— |
| 23. <i>G. Morcinek. Duńskie serce</i> | 0.80 |
| 24. <i>F. Burdecki. Lot w stratosferę</i> | 0.90 |
| 25. <i>K. Makuszyński. Uśmiech Lwowa</i> | 0.90 |
| 26. <i>H. Górska. Chłopcy z ulic miasta</i> | 1.— |
| 27. <i>St. Machniewicz. W grobowcu Tut-Ankh-Amona.</i> | 0.90 |
| 28. <i>J. Osińska. Na Jamboree</i> | 0.90 |
| 29. <i>E. Szelburg-Zarembina. Tajemnica Czeremoszu</i> | |
| 30. <i>J. Kossowski. Nafta... nafta... nafta...</i> | |
| 31. <i>M. Krzepakowski. Rozbitkowie z Czeluski</i> | |
| 32. <i>J. Burdecki. Światy planetarne</i> | 1.— |
| 33. <i>J. Ostrowski. Polacy konkwistadorzy</i> | |
| 34. <i>J. Grabowski. Skarb na Sumatrze</i> | |
| 35. <i>J. Osińska. W pięknej Rumunji</i> | |

Prosimy żądać prospektu.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 37297

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174465